MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 6. WARSZAWA, 4 LUTEGO 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

ZAGADNIENIE KONSTYTUCJI

MINUTA czasu wystarczyła na uchwalenie przez sejm — w trzech czytaniach — nowego tekstu konstytucji. Nie dłużej, niż minutę, trwało zainteresowanie opinji publicznej tem zdarzeniem. Nazajutrz, z rozporządzenia policji, dozorcy domowi w Warszawie wywiesili po dwie flagi przepisowe nad bramami kamienic.

Obojętność społeczeństwa wobec uchwały z dn. 26 stycznia r. b. jest zjawiskiem najzupełniej zrozumiałem. Wszyscy wiedzieli, że w faktycznym układzie stosunków w kraju żadna nie nastąpiła zmiana, że zgłoszony przez p. Cara wniosek konstytucyjny miał za cel stabilizację istniejącego od siedmiu i pół lat stanu rzeczy, nie zaś usunięcie go i stawienie na jego miejsce czegoś innego. Zresztą wszyscy są głęboko przeświadczeni, że nowa konstytucja przestrzegana będzie z tą samą powagą i tem samem skrupulatnem poszanowaniem przepisów prawnych, jakie towarzyszyło jej uchwaleniu. Że, naprzykład, wybory do ciał ustawodawczych, dokonane według nowych zasad, przeprowadzone będą z tą samą, wypróbowaną rzetelnością, jaką widziało się przy wszystkich dotychczasowych „rozgrywkach" wyborczych w okresie po przewrocie majowym.

Jeszcze z jednego także względu usprawiedliwić można brak przejęcia się, z jakim ogół potraktował urzeczywistnianą obecnie zmianę ustroju państwowego. Cały sens reformy konstytucyjnej, w jej dzisiejszem ujęciu, w praktyce sprowadza się do tego, by przy pomocy urządzeń formalno-prawnych zabezpieczyć na czas możliwie najdłuższy utrzymanie władzy w państwie dla obozu, który ją w chwili teraźniejszej posiada. Piłsudczycy atoli są formacją psychologiczną tak specjalną, wytworem splotu warunków historycznych tak odmiennych od dzisiejszych i tak wyjątkowych, że z natury rzeczy nie są zdolni do przekazania swojego sposobu myślenia generacji następnej: ich przywiązania, antypatje, nawyki, ich poglądy i przesądy — nawet dla wychowanków sanacyjnych organizacyj (Legjonu Młodych, Młodzieży Mocarstwowej i t. p.) są czemś duchowo najzupełniej obcem, niezrozumiałem, obojętnem. Usiłowanie zapewnienia ciągłości przy pomocy środków zewnętrznych, przepisów ustawy, skoro związek wewnętrzny nie istnieje, — to wysiłek daremny całkiem, budzący tylko politowanie...

Niemniej fakt uchwalenia konstytucji w myśl projektu B.B.W.R. pod niejednym względem przyczyni się do wyjaśnienia położenia politycznego w Polsce. Z tą chwilą bowiem obóz sanacyjny — w sposób widoczny dla każdego — przestaje być obozem, dążącym do naprawy, wyrazem poszukiwań nowych form ustrojowych, w przeciwstawieniu do zapóźnionych obrońców ustawy marcowej, jest natomiast strażnikiem *status quo*, przez siebie stworzonego, walczy o zachowanie, nie zmienianie istniejących urządzeń politycznych, które są przystosowane do jego metod działania i w których czuje się najwygodniej. A tymczasem społeczeństwo coraz jaśniej zaczyna zdawać sobie sprawę, że naród polski, ze swym poziomem cywilizacyjnym i tysiącletnią tradycją, zasługuje przecież na coś lepszego, niż to, co posiada obecnie, nie widzi ono szczytu swoich ambicyj w utrzymaniu stosunków teraźniejszych, przeciwnie, coraz energicz-

niej dążyć będzie musiało do przebudowy, do nadania sobie form życia zbiorowego mniej prymitywnych, odpowiedniejszych. Co więcej, społeczeństwo odczuwa z każdym dniem wyraźniej, że żyjemy w epoce olbrzymich przemian, przewrotu, który dziś jest dopiero w fazie początkowej, i że te nowe czasy wymagać będą również nowego ustroju prawnego, który tych przeistoczeń będzie wytworem. I coraz oczywistsze staje się też dla każdego, że wyrazicielem tych dążeń do reformy jest i może być w obecnej dobie jedynie—kierunek narodowy. Widocznie całkiem, jeśli chodzi o stosunek do zagadnień ustrojowych, zarysowują się teraz w Polsce trzy obozy: niedobitki lewicy, pragnącej przywrócenia konstytucji 17 marca oraz warunków z przed maja r. 1926 — to dzień wczorajszy; grupa „sanacji", broniąca istniejącego stanu rzeczy i zabezpieczających go, obecnie uchwalanych norm konstytucyjnych—to dzień dzisiejszy; wreszcie obóz narodowy, dążący do zmiany—świt lepszego jutra.

Zasady, na których oprze się ten przyszły ustrój narodowy, nie trudno — w najogólniejszych zarysach — sformułować. Jasne jest, iż podstawą będzie w nim naród polski, nie zaś „obywatel bez różnicy narodowości" (jak w konstytucji 17 marca i obecnym projekcie konstytucyjnym B.B.W.R.), że trzymiljonowa zgórą masa żydowska nie będzie mogła mieć praw politycznych, tych samych, co autochtoni, być dopuszczona do decyzyj w sprawach polskich i wpływania na bieg polityki państwowej. Jasne jest, iż konstytucja narodowa musi wziąć za punkt wyjścia zaufanie do narodu, że nietylko wobec konieczności chwili (przewrót gospodarczy uniemożliwi utrzymanie tak kosztownej, skomplikowanej machiny państwowej, jaką posiadamy obecnie), ale z samych założeń swoich musi dać możność swobodnej organizacji sił społecznych, bujnego, nietamowanego rozrostu narodowego życia. Jasne nakoniec, że w myśl idei o pierwszeństwie obowiązku przed prawem, przynależność do warstwy kierowniczej nie stanie się przywilejem, zapewniającym dochody i wygody, ale naodwrót łączyć się będzie z cięższemi powinnościami i podleganiem surowszej dyscyplinie.

Ustrój narodowy nie może być czyimś pomysłem dowolnym, wynikiem tych czy innych kombinacyj taktycznych, albo też naśladownictwem obcych wzorów. Kształtuje się on w świadomości prawnej narodu, jako wyraz jego pojęć moralnych, wynik jego historycznego rozwoju.

JAN REMBIELIŃSKI

DO ŹRÓDEŁ NIEPODLEGŁOŚCI. — III.

DYLEMAT

CZY MOŻNA pomyśleć sobie skonstruowanie i udoskonalenie teleskopu, spektroskopu, mikroskopu bez gruntownej znajomości optyki? Czy można wyobrazić sobie zdobycze astronomji i astrofizyki bez udziału dwu pierwszych, bakterjologji bez udziału ostatniego z wymienionych instrumentów? Czem się tłumaczy wogóle wspaniały rozwój techniki nowoczesnej? Tem, że technika jest nauką stosowaną.

Inaczej w polityce. A jednak, czy osiąganie trwałych (nie doraźnych, często przemijających, więc pozornych) wyników w dziedzinie politycznej nie wymaga też odpowiednich narzędzi? Jakich? Wiedzy i siły. Bez oparcia o gruntowną znajomość natury jednostki i zbiorowości ludzkiej, form bytu i dziejów społeczeństw oraz norm regulacyjnych wszelkiego życia społecznego, polityka, rozporządzająca nawet znacznemi siłami, może je roztrwonić, ale nic trwałego osiągnąć nie zdoła. Polityka jest nietylko sztuką, lecz również nauką stosowaną. Więc i badacz i działacz polityczny, pozbawieni steru doświadczenia i busoli zasad i założeń, poprowadzą okręt do zguby, pierwszy wskazując błędny kierunek, oparty na błędnej djagnozie, drugi — trzymając się błędnego kierunku.

Żydzi posiadają w łonie swej organizacji państwowej tajne archiwa, w którychześrodkowuje się wiedza wypróbowana doświadczeniem paru tysięcy lat, cenią przytem wysoko i uprawiają wszystkie dziedziny nauki, zwłaszcza związane z bytem społeczeństw ludzkich.

A nie-żydzi? Ich doświadczenie dziejowe jest krótsze, na tym punkcie żydzi mają przewagę rutyny. Nie znaczy to jeszcze, aby nie-żydzi byli mniej zdolni, — jeżeli chodzi o jednostki wybitnie utalentowane są nawet zdolniejsi od żydów. Jednakże w zapasach międzynarodowych rozstrzygają nie jednostki, lecz raczej masy. W takim razie sytuacja nie-żydów powinna być również korzystniejsza — jest ich przecież więcej.

Coprawda nikt z nie-żydów nie zna dokładnie statystyki żydów, ponieważ statystyka uwzględnia w najlepszym razie osoby religji mojżeszowej, nie obejmując żydów chrzczonych, ani potomstwa zrodzonego ze związków mieszanych, w których jedna ze stron była żydem lub żydówką. To też zachodzi pytanie, czy, ażeby uzyskać liczbę zbliżoną do rzeczywistości, nie należałoby trzy lub czterokrotnie pomnożyć liczb żydów, figurujących w statystykach urzędowych albo żydowskich. Ale nawet w tym wypadku, gdyby żydów na kuli ziemskiej było nie 15, lecz 60 miljonów, mimo to, wobec rozproszenia, stanowiliby wszędzie mniejszości — taka jest *vox populi*. Tymczasem zdanie powyższe jest słuszne jedynie, o ile ściąga się do stosunków ogólnikowych, jest natomiast błędne w odniesieniu do stosunków szczegółowych.

Rozmieszczenie żydów nie jest nigdzie równomierne, rozproszeniu odpowiada w każdym kraju diaspory koncentracja. Cóż z tego, że ludność żydowska wysp brytyjskich, według obliczeń żydowskich, nie przekracza 6 głów na tysiąc ogółu lud-

ności, kiedy Londyn (podobnie jak inne miasta) posiada całą dzielnicę zaludnioną przez żydów przynajmniej w 95%. Wobec istniejących mniejszych lub większych skupień we wszystkich krajach diaspory, rozproszenie staje się zjawiskiem poniekąd pozornem, ukrywającem istnienie przytłaczających większości żydowskich, osiedlonych na nieznacznej powierzchni obszarów miejskich.

Ten swoisty charakter rozmieszczenia dotyczy nietylko rozsiedlenia terytorjalnego, ale i udziału żydów w życie społeczno-gospodarczem i politycznem społeczeństw nie-żydowskich — statystyka zawodowa ujawnia we wszystkich krajach diaspory ponad normalną koncentrację żydów w handlu, po części przemyśle, jako ściśle związanym z handlem, w pośrednictwie, dziennikarstwie, filmie, na scenie i estradzie, w medycynie, urzędach, zwłaszcza w wywiadzie, służbie śledczej, tajnej policji. Sam fakt ponad normalnego nagromadzenia żydów na głównych placówkach życia społeczno-gospodarczego i politycznego daje im znaczną siłę, o ile nie przewagę, w stosunku do społeczeństw nie-żydowskich.

Rozpływanie się pozorne (przenikanie) żydów (przeważnie chrzczonych) w środowiskach nie-żydowskich, łącznie z ich odgradzaniem się, ułatwia im działalność organizacyjną i śród swoich i śród obcych, we wszystkich kierunkach, zawsze w celu uzależnienia od siebie zorganizowanych grup nieżydowskich.

I oto niemal wszędzie na świecie wytworzyły się takie stosunki, że nie-żydzi, zorganizowani dokoła celów polityki narodowej, znajdują się w mniejszości we własnej ojczyźnie, mają bowiem przeciw sobie większość grup nie-żydowskich, zorganizowanych przez żydów. Są jeszcze wprawdzie niezorganizowane masy nie-żydowskie i one właściwie większość rdzenną stanowią. Biada jednak politykom, którzyby na żywiołowym i zgodnym wysiłku tych mas oparli swoje rachuby. Błędna djagnoza: nic się samo nie zrobi. Masy niezorganizowane są nieobliczalne, podatne na najbardziej potworne suggestje, w pogoni za żłobem lub za fikcją. Zatem w polityce rozstrzygają nie jednostki, chociażby genjalne, nie masy, chociażby wielomiljonowe, lecz większość grup, zorganizowanych podbojowo.

Jeżeli zarówno z punktu widzenia siły, jak i wiedzy polityka narodowa zmuszona jest wyrzekać się posunięć decydujących, to daleko jej jeszcze do polityki narodowej. Mamy wprawdzie przed oczyma potężny eksperyment niemiecki. Ale: 1) eksperyment ten rozpoczął się zaledwie, 2) ogranicza się na razie do terenu niemieckiego, 3) natrafia na splot powikłań w polityce zagranicznej.

W związku z tym eksperymentem nasuwałyby się pewne delikatne pytania: czy Niemcy zmierzają do ograniczenia frontu walki, czy też zachowają w dalszym ciągu, obok antyżydowskiej, postawę antypolską i antyfrancuską? Dotychczas niema bodaj zmiany istotnej. Osiągnąwszy przy pomocy żydów, za którą zapłacili u siebie rewolucją, pewne ulgi, lub wstrzymanie kroków wojennych, zakończone zniesieniem przedterminowem okupacji, Niemcy weszły na drogę uniezależnienia swej polityki wewnętrznej i zewnętrznej. I tu się zarysowywa dylemat: Jeden front, czy dwa fronty (albo więcej)?

W ten sposób polityka zagraniczna obarcza politykę wewnętrzną państwa, zatem i rządu polskiego, ktokolwiek stałby na jego czele.

Czy żydzi przewidzieli ten stan rzeczy, nie będę ani twierdził, ani przeczył, faktem jest, że go wyzyskują. W każdym razie żydzi pamiętali o pewnym fakcie fundamentalnym, na który polska polityka narodowa nie zwracała dostatecznej uwagi. O czem?

Pan Adam Skierko w pracy swojej p.t. „Izraelici w Polsce“ (*„Les Israélites en Pologne. Extrait du Volume II de l'Encyclopédie Polonaise, publiée par le Comité des Publications Encyclopédiques sur la Pologne à Fribourg en Suisse. Edition du Comité Nation Polonais en Amérique* (Wydział Narodowy Polski w Ameryce *National Polish Committee of America*, Lausenne, 1920) ustalił:

1) kraje rozproszenia, w których obserwujemy na zmianę to okresy zastoju i spadku, to okresy natężonego, ponadnormalnego wzrostu ludności żydowskiej, zarówno jak kraje z tendencją wzrostu stałego, niekiedy wprost fantastycznego, zawdzięczają powiększanie się ludności żydowskiej nie tyle przyrostowi naturalnemu, ile imigracji;

2) uderzające wahania w rozwoju ludności żydowskiej, w zestawieniu z ludnością nieżydowską, dadzą się jedynie wyjaśnić przez ruch migracyjny żydów, przez fakt, że ludność ta jest zasadniczo niestała;

3) jeżeli pewne kraje Europy zachodniej, Ameryki, Australja, Afryka południowa są odbiorcami ludności żydowskiej, to muszą istnieć inne kraje, które ten żywioł eksportują (str. 16 (836);

4) wskaźnik urodzeń u żydów jest wyższy, niż wskaźnik u nie-żydów w tych krajach, gdzie istnieją znaczne skupienia żydowskie, tak iż masy wskutek konkurencji, opartej na jednostronnej strukturze zawodowej, żyją przeważnie w stanie zacofania i nędzy, *more judaico*. Natomiast w krajach, gdzie gęstość zaludnienia żydowskiego jest mniejsza, a warunki życia pomyślniejsze, gdzie nietylko nędza, lecz niezamożność jest czemś wyjątkowem, wskaźnik urodzeń u żydów przewyższa rzadko (w czasie wojen, kryzysów) wskaźnik urodzeń u nie-żydów, przeciwnie nawet, jest zazwyczaj niższy i ujawnia stałą tendencję zniżkową (str. 32/856);

5) w większości krajów Europy zachodniej, zarówno jak i innych krajów, stanowiących teren imigracji ludności żydowskiej, musiałaby ta ludność powoli wygasnąć, gdyby nie była perjodycznie zasilana przez przypływ imigrantów żydowskich, pochodzących głównie z ziem polskich, które odgrywają w ten sposób rolę rezerwoaru Izraela (str.33/857).

Zdaje się, że nikt wcześniej — przynajmniej w Polsce — tego faktu fundamentalnego w równie naukowy sposób nie sformułował. (Pan Kazimierz Smogorzewski ogłosił w r. 1921 wywiad z p. A. Skierką w tej sprawie w „Gazecie Warszawskiej“). Oczywiście fakt ten był znany ogólnikowo, ale ogólnikowość myśli rodzi zawsze ogólnikowość poczynań, nie wystarcza tedy do przeprowadzenia konsekwentnie żadnego planu politycznego.

Jeżeli Polska przez szereg wieków pełniła funkcje rezerwoaru Izraela, a polityka narodowa przystąpiła do wzmożonej eliminacji ludności żydowskiej, to było rzeczą nieuniknioną i do przewidzenia, że żydzi przeciwstawią się powyższemu postulatowi, puszczając w ruch wszystkie sprężyny, aby pozostać i utrzymać swój stan posiadania w myśl aforyzmu: *„ci siamo e ci resteremo“* (tu jesteśmy i tu pozostaniemy).

Dlatego jednak konflikt polsko-żydowski posiada nietylko interes lokalny, lecz europejski i światowy.

IGNOTUS

GRUBA BERTA LENINIZMU

Motto: W współczesnej Rosji Sowieckiej, ciemne, jak noc i do tego podbechtywane przez duchowieństwo i kontrrewolucyjnych agitatorów gromady chłopskie w najnikczemniejszy sposób mordują żydów i czynnych bezbożników. Wład. Spasowski

Religja — to opium dla narodu. Marx i Lenin

Kler i wierni w Sowietach, to szara masa upośledzonych. Aparat państwowy jest dla nich zdecydowanie wrogi: G. P. U. i Sołowki.

Informacje bezstronnych obserwatorów i dziennikarzy.

WYSTRZELONO w Polsce z armaty największego kalibru. Dotychczas była naogół cisza. Czasem jakaś broszurka. To Lenin, to grubsze żywoty Trockiego, to znów reportaż. Że tam niby dobrze, że prawie jak w raju, zachwyt, entuzjazm, no i wogóle. Tylko jeszcze troszeczkę trzeba poczekać, a szczęście zapanuje na całym świecie. Ludziska czasem czytali, częściej głowami kiwali, ale żeby tak bardzo temu wierzyć, to nie wierzyli... Byli jednak entuzjaści, byli. Jedni — żydkowie i działacze, ci od jaczejek, pakowani od czasu do czasu do więzienia i to bez pardonu na lat osiem albo dziesięć. A drudzy — głowacze albo intelektualne snoby z „reżimu", pioniery „żagarowe" i wszelkie inne radekalne burżujstwo, łaknące nowinek i ekscytacyj cerebralnych, dostarczanych przez popędy negacyjne, ci — co porobili karjery w okresie „reżimu". Ci się entuzjazmują: *Lux ex Oriente. Ex Oriente.* Ale poety i beletrysty już się skończyły. Na razie bezapelacyjnie. Leżą na półkach u wydawców. Nawet Gorkij Nobla nie dostał. Tedy w rozmowach i dyskusjach, w salonach na żurfiksach, i przy czarnej w Ipsie — pustka, sieczka, nuda. Niema fundamentu, niema busoli. A tu: kościoły przepełnione, młodzież religijna, idea narodowa się rozwija. A tam: z piatiletką kłopoty, z urodzajem jeszcze gorsze. Podobno wzrasta sceptycyzm wśród młodych, tworzy się coś podziemnego — *podpolje*. A tu: wśród snobów coraz większa sieczka, słoma, siano. Sublimacja intelektualnych popędów praktycznych snobów skończyła się fiaskiem. Siano. I posady. A to zamało, stanowczo zamało. Nie samym chlebem człowiek żyje.

Każda grupa i grupka nawet ma swoich cierpiętników i ofiarników. Tedy p. Władysław Spasowski napisał dla wyznawców swego kościoła nową Summę, nowy Koran, nową apologetykę. Żeby mieli swój *Wegweiser.* Żeby wiedzieli, jak i co, żeby nie pobłądzili, a w razie czego, iżby za rączkę swego *guide*'a ucapili. Wiadomo: tonący nawet brzytwy się chwyta. Ta biblja Leninowskiego alkoranu zwie sie „Wyzwolenie człowieka w świetle filozofji, socjologji pracy i wychowania ludzkości". Tytuł troszkę przydługi, ale to nic nie szkodzi, a nawet przydaje uczoności, powagi, właśnie, autorytetu. Już sam tytuł, a cóż dopiero treść. Wyzwolenie było jeszcze pod prasą, a już szeptano w gronie najbliżej wtajemniczonych: Wiecie, Spasowski już... Owszem, wiemy — wibrowało w powietrzu— Demokryt, Empedokles, Seneka, Plinjusz, Caro, Hobbes, Montaigne, Diderot, Rousseau, Marx, Engels, Nietzsche, Lenin i inni, przepraszam i — Spasowski... Od środka na lewo, coraz bardziej na lewo od „reżimu" rozlega się szept wyperfumowanych, wymanicurowanych i wyposażonych zwolenników *ex Oriente lux*. Spasowski tu, Spasowski tam... Spasowski, Spasowski... Prawie: *Figaro gi, Figaro là*, Jak przed W. R. F.

Otóż Spasowskiego alkoran prawie sześćset stronicowy wyzwala człowieka najpierw od wiary w Boga. Wymieniwszy jednym tchem, bez zachłyśnięcia się, że twórcami nowych wierzeń religijnych i kodyfikatorami przekazanych zabobonów były mniej lub więcej legendarne postacie w dziejach, jak „Konfucjusz, Lama, Sinto (!), Brama i Budda, Zoroaster, Minos, Mojżesz, Pitagoras w Italji, Numa w Rzymie, Mahomet", i po tak gruntownem popisaniu się w zakresie znajomości elementów religjonistyki, pan Spasowski, ostrzelawszy ogniem karabinowym konfucjonizm i buddyzm, oszczędziwszy religję żydowską, wziął pod obstrzał chrystjanizm, głównie katolicyzm. I to z grubej Berty. Z najgrubszej. Całą swą wiedzę religjoznawczą oparł p. Spasowski na wolnomularzu Holbachu, w którego pałacu, jak wiadomo, zgromadzali się encyklopedyści, a Wolter po powrocie z Anglji założył u niego lożę masońską, zwaną klubem Holbacha. Drugim filarem, na którym ugruntował p. Spasowski swoje wiadomości z dziedziny religji, jest żyd paryski Salomon Reinach, archeolog, którego w sferach naukowhch, zajmujących się rzetelnie religjonistyką nikt poważnie nie bierze, choćby dlatego, że książka jego jest adwokacką publikacją, wkraczająca w politykę. Adwokackie zacietrzewienie p. Reinacha doszło do tego stopnia lekkomyślności, zresztą u żydka paryskiego zrozumiałej, że w swej książce o religjach wystrzelił jak Filip z Konopi: „Okupacja Galicji przez armję polską (1919) była zaznaczona podobnemi ekscesami. Szacują na miljon liczbę żydów rosyjskich lub polskich, zamordowanych, umarłych z zimna lub głodu". Dzieło o historji powszechnej religij. A tu autor ni stąd ni zowąd pisze w niem, że okupacja, taki okupacja Galicji— słuchajcie Polacy uważnie: okupacja Galicji przez armję polską, która to armja polska, wedle pana Reinacha, miljon żydów wymordowała, wymroziła, wygłodziła... Dobre, co? I to jest właśnie dla pana Spasowskiego fundament, źródło najgłębsze nauki o religjach. Powinszować, powinszować — snobom, które wydelegowały pana Spasowskiego aż do Paryża, do *Bibliothéque Nationale*, żeby tam właśnie mógł czytać Reinacha...

Nie zaglądał pan Spasowski do „*L'Anné Sociologique*, „do" *Revue de l'histoire des Religions*", nie czytuje tego, co się drukowało i drukuje w „*Globus*" czy w „*Archiv fuer Religionswissenschaft*", nie zna wcale prac Lehmann'a, Preussa i Becka, nie zdaje sobie sprawy nawet z tego, że jak się wykłada niejako *ex cathedra* o religji, to ani rusz bez znajomości Frazera, wielkiego socjologa angielskiego; że bez zapoznania się z dziełami Bronisława Malinowskiego (a jest i taki: profesor w Londynie) — także ani rusz. Kto pisze o religjach, a nie zna badań Ranka (ze szkoły Freuda!) o psychologicznem znaczeniu mitów, albo kto nie

czytał prac Tadeusza Zielińskiego o religjach, ten naraża się poprostu na — śmieszność. Na zabójczą śmieszność. Można się zgadzać lub nie zgadzać, można w coś wierzyć lub nie, to wolno każdemu. Ale jeżeli pan Spasowski pisze sześćset stronicowe dzieło z pozorami uczonej naukowości, opatrzone aparatem przypisów, cytat, to musi się zgodzić, że Warszawa, to Europa, tu nie można *pod stienku*! W Warszawie i w Polsce ludzie też się czegoś uczą, coś umieją i czytują to i owo. Że w Europie nie można bezkarnie, bez narażenia się na zarzut bezgranicznego nieuctwa pisać, że ci, co wierzą w Boga, to kretyni, głupcy, bezczelni oszuści, szarlatani, matołki, szachraje, banda cynicznych oszustów i obłudników... Skoro pan Spasowski setki razy powtarza przy każdej okazji, że religja, a ma głównie na uwadze katolicki chrystjanizm, to brednie i bajki oszustów, zaś w najlepszym razie zaczadzonych idealistów, że jest to szachrajstwo ciemnoty, rozpasanie głupoty, bezmyślny idjotyzm chorej wyobraźni i majaczenie szaleńców; to ani chybi musimy się obawiać o to, czy ma rzeczywiście wszystkie klepki w porządku. Albowiem, jak widać z prac badawczych, zamieszczanych w „*Archiv fuer Religionspsychologie*“, choćby ze studjum Kurta Schneidera („*Zur Einfuehrung in die Religionspsychopathologie*“), typem patologicznym może być równie dobrze jakiś religjant jak i bezbożnik, ateista. Jest to nienormalność niejako naodwrót.

Centralnym punktem wyzwolenia człowieka jest dla pana Spasowskiego wyrugowanie z umysłów nietylko wiary w Boga, pozbawienie społeczeństw religji, ale usunięcie wszelkiej idei Boga tak, żeby ślad po niej nie pozostał. Pasteur, ponieważ wierzył w Boga, jest zapewne dla p. Spasowskiego matołkiem, cynicznym szachrajem, albowiem dzikusem, stojącym niżej nawet od dzikusa australijskiego, jest dlań sławny Jeans, astrofizyk angielski, ponieważ ma ideę Bóstwa. Pan Spasowski stoi na stanowisko czynnego bezbożnictwa, powiada, że trzeba zwalczać wiarę w Boga, tak jak się zwalcza bandytyzm moralny; agitacja zaś antyreligijna powinna być ustawowo zabezpieczona.

A więc tu leży pies pochowany, w tem sęk. Pan Spasowski chce założyć klub bezbożników, ale nie dość tego, chce mieć jeszcze ustawowo zabezpieczoną wolność zwalczania wiary w Boga.

A może jeszcze Sołowki, *towariszcz* Jemieljan Jarosławskij, co? Wesoły figlarz z pana dobrodzieja...

A skoro pan Spasowski zapewnia nas, że nowa nauka buduje się jedynie dopiero w Rosji Sowieckiej, tam, gdzie — wedle rozwiązania sprawy przez Lenina — podobno „tylko klasa pracująca decyduje o wszystkiem, a ziemia i inne bogactwa należą do ludu pracującego“, zaczynamy podejrzewać, że z pana Spasowskiego to niezły kawalarz, co to z głupia frant bierze na fundusz wyznawców swej kapliczki leninowskiej, którą chce ustawić na miejsce dotychczasowego kościoła chrześcijańskiego. A przytem sztukmistrz też jest z niego niezgorszy. Przecież nikt inny, tylko on sam pisał przed kilku laty: „Tyranja duchowa, kształtowanie czyjejś duszy na obraz i podobieństwo własnych upodobań wedle wzorów szablonowych, winny być nareszcie uznane za największą zbrodnię”. (Zasady samokształcenia).

A więc niedawno: tyranja duchowa była zbrodnią, a dziś — z pana czynny bezbożnik, nowy pochód bojowych ateistów, niemal Sołowki...

Jakże prędko, jakimż nieprawdopodobnym ekspressem jedzie pan Spasowski: z Paryża na Wschód.

A może to tylko, mówiąc tak między nami, powiedzmy sobie to po cichutku, na ucho, a może to owe całe sześćset stron „Wyzwolenia człowieka“, może to tylko bajeczka, zresztą dosyć bezczelna, bo dla bezmyślnych, a zaczadzonych materjalistów? Bajeczka, pełna obłudy i moralno-intelektualnego rozpasania.

Tak, *po zakazu*, co?

GORGJASZ

CELOWOŚĆ SPRZĘTU

KRÓTKI spór o krzesło, który błysnął na tych tu łamach pomiędzy dwoma wytwornymi szermierzami szpady polemicznej (pomiędzy redaktorem J. Rembielińskim, a budowniczym S. Jankowskim) skusił i mnie do wstawienia w krąg ostrych oręży swojej... nie szpady, ale raczej różdżki pokoju, doszedłem bowiem do wniosku, że i w tym sporze, jak to bywa najczęściej, ogniem zapału kieruje małe, najmniejsze nieporozumienie o słowo. W danym wypadku słowem tem była „celowość”, do której jeszcze doczepiło się drugie: „wygoda”.

Czy zasadą sztuki sprzętarskiej, a jak tu — zasadą kształtu krzesła — ma być celowość i wygoda, czy też idea, duch ludzki, dostojność człowieczeństwa? W obu pytaniach tkwi niebezpieczeństwo mglistości i ogólnikowości określeń, one bowiem z reguły prowadzą do nieporozumień. Zanim przeto zaczniemy odpowiadać na pytania, trzeba dokładnie porozumieć się co do znaczenia użytych za podstawę określeń. Co to jest celowość krzesła? Co — jego wygoda? Na czem polega dusza, duch dostojność krzesła? Czy (przypadkiem!...) oba te stanowiska polemiczne nie dadzą się sprowadzić do jednego mianownika?

Dla uproszczenia wyrzućmy przedewszystkiem słowo „wygoda”, ona bowiem znakomicie i całkowicie mieści się w określenia „celowości”. Każdy przedmiot, każdy sprzęt, a więc i każde krzesło jest niewygodne, gdy jest niecelowe. Sądzę, że obaj polemiści nie zapędzili się aż tak daleko, żeby wygodą nazywać tylko kształt wygodny do spania. Chodzi o wygodę użytku z danego krzesła, a jeżeli tak, to słowo „wygoda” można na całej przestrzeni sporu zastąpić słowem „celowość”. Zatem: cóż to jest celowość krzesła, czyli (zaznaczmy dla ścisłości:) sprzętu do siedzenia?

Odpowiedź nasunie się prędko, gdy zauważymy na wstępie, że i sama czynność siedzenia jest określeniem ogólnikowem, które domaga się uprzedniej analizy i następnych w rozważaniu rozróżnień. Siedzenie siedzeniu nie równe... Wielce rozmaite są cele siedzenia ludzkiego! Raz dla tego. a innym razem dla czegoś całkiem innego się siedzi. Jeżeli siedzi się dla szewskiej roboty, to „sprzęt do siedzenia” nie może mieć królewskiego patosu, bo byłby niecelowy, niewygodny i poprostu śmieszny. A gdy się siedzi dla wysłuchania listów wierzytelnych, adresowanych do Jego Królewskiej Mości

i doręczanych przez ambasadora innej Jego Królewskiej Mości, to „sprzęt do siedzenia" nie może mieć kształtu stołka szewskiego, bo również byłby niecelowy, niewygodny i poprostu śmieszny. Co nie przeszkadza, że oba „sprzęty do siedzenia", każdy na swojem miejscu, mogą być wyrazem ducha ludzkiego i jego dostojności.

Krzesło powinno być celowe, czyli powinno ściśle i doskonale służyć do takiego siedzenia, do jakiego jest przeznaczone. (A więc nie do „siedzenia wogóle", lecz do pewnego, ograniczonego rodzaju siedzenia). Teraz już jesteśmy na całkiem „celowej i wygodnej" drodze do łatwego odrzucenia nieporozumień i wybujałości sporu polemicznego.

Czy fotel dentystyczny byłby celowy (i wygodny...) w salonie na „czarnej kawie", lub innym jakim „żurfiksie?" Tylko wyobraź sobie, szanowny czytelniku, że w otoczeniu przepięknych dam i wytwornych panów napół siedzisz napół leżysz na tak cudownie wygodnym fotelu! Jaka bomba dynamitowa zdoła prędzej wysadzić człowieka z takiego fotela w tych okolicznościach, niźli owa „wygoda" hygjeniczna?... Fotel ów w salonie jest sprzętem w najwyższym stopniu niewygodnym do siedzenia i niecelowym. Natomiast w gabinecie dentysty jest sprzętem w najwyższym stopniu wygodnym i celowym.

Powołajmy wszystkie swoje nerwy i mięśnie razem z wyobraźnią naszą, duchem i poczuciem estetycznem, a wtedy za każdym razem ta spółka sędziów i ekspertów naszych da nam jasną odpowiedź na pytanie, czy dany sprzęt jest celowy, czy niecelowy. Czy byłby celowy fotel klubowy przy stole obiadowym? Byłby tylko torturą dla biesiadnika! A ten sam fotel jest szczytem celowości (i wygody...) w swobodnej pogawędce klubowej. Czy byłby celowy puf buduarowy do pisania przy biurku? Czy może być dla szewca bardziej celowy (i wygodny...) „sprzęt do siedzenia", niż jego trójnóg, odpowiednio pokryty i zlekka wgłębiony? Pytajmy tak, dopóki nam materjału do pytań wystarczy, a wtedy synteza odpowiedzi sama się zjawi.

Niema na świecie „krzesła wogóle", niema „siedzenia wogóle"! Celowość w każdym wypadku odrębnym jest celowością nie ogólną, ale celowością do określonego celu, zawodu, pracy, wieku, osoby dostosowaną. Kto ma tę prawdę w stałej pamięci mięśniowej, nerwowej i umysłowej, ten nie pobłądzi.

Zanim porzucimy sprawę celowości sprzętu, zapytajmy, w jakim ona pozostaje stosunku do materjału sprzętu, mając tu na oku, jakoby modne dzisiaj, stalowe, „sprzęty do siedzenia". Gdyby ciało ludzkie (które siaduje) nie miało czucia, gdyby nie było wrażliwe na ciepło, miękkość, szorstkość, zimno, wtedy stalowe sprzęty do siedzenia miałyby dzisiaj wszelkie szanse do zastąpienia drewnianych. Ale, niestety, człowiek jest stworzeniem żywem, zaś sprzęty do siedzenia, a nawet stoły, szafy i t. p. pozostają wciąż w bezpośredniem stykaniu się z dotykiem naszym, który, owszem lubi zimno, jak zimno lodu, śniegu, maszyny, tych słowem rzeczy, ktore nie są do siedzenia, ale nie znosi chłodu w chwili, gdy pragnie ciepła, a to zarówno w czasie czynności siedzenia, jak i wogóle w mieszkaniu ludzkiem, oraz w wielu swoich pracowniach, różnemi sprzętami napełnionych.

Sprzęty metalowe promieniują ze siebie zimno, surowość, suchość, oschłość, tak samo jak sprzęty szkłem pokryte, a jeszcze bardziej, niż kamienne. Podczas siedzenia i wielu zajęć domowych człowiek ciągle różnych sprzętów dotyka, opiera na nich łokcie, dłonie, tułów, czasem głowę. Sprzęty są mu fizycznie tak niemal bliskie, jak ubranie! I oto mamy wzgląd rozstrzygający, dla którego żaden metal w sprzętarstwie nie zastąpi drzewa. Na parowozie pędzącego pociągu „sprzęty do siedzenia" dla maszynisty i palacza są stalowe, chociaż i te nawet mają blat z drzewa. Ale jeśli nonsensem są drewniane krzesła gotyckie w pokojach mieszkalnych, to jeszcze większem w nich głupstwem byłyby stalowe krzesła parowozowe.

Poza wszystkiemi swojemi dogodnościami materjał drzewny ma jeszcze i tę, że jest ciepły, miły, w miarę miękki, w miarę lekki, słowem — przytulny, a to w sprzętarstwie, tak samo jak w tkactwie materjałów ubraniowych rozstrzyga sprawę raz na zawsze. Metalowy „sprzęt do siedzenia" działa na moje nerwy zupełnie tak samo, jak kamizelka blaszana. Może są na świecie ludzie, którym wygodnie i celowo tańczyć w spodniach aluminjowych, flirtować na pufie stalowym; marzyć na ogniotrwałym fotelu, otwierać po chleb drzwi pancernego kredensu, pić kawę ze srebrnej filiżanki, mieszkać w domu szklanym. Ale wątpię, czy taki gatunek ludzki utrzyma się dłużej, niżby wytrwał w obecnych warunkach na kuli ziemskiej gatunek plezjozaurów, iguanodonów, lub pterodaktylów. Sądzę, że cała owa „metalowość" sprzętarska jest modą chwilową o bardzo ograniczonym zasięgu, a nieograniczonych logiką zapędach reformatorskich.

Skoro jednak moda owa lubi powoływać się na logikę, zatrzymajmy ją na jej, tak niebacznie wyrzeczonem, słowie naukowem i, jak dotąd, tak i nadal w wywodach stosujmy logikę ścisłą, nieubłagalną. Gdy mowa o celowości „sprzętu do siedzenia", to zapytajmy logicznie, czy sama celowość siedzenia polega tylko na wygodnym układzie mięśni człowieka? Czy oprócz układu mięśniowego nic już innego nie gra roli w czynności siedzenia? Czy na krześle siedzi tylko ciało? Ciało bez duszy, bez ducha, bez myśli, bez woli, bez tego, co w polemice o krzesło nazwano tu ideą i dostojnością ludzką? Niema człowieka, któryby nie zgodził się na to, że siedzi tu duch, myśl i wola w ciele ludzkiem upostaciowane. A jeśli tak, to bezpośrednio z całą celowością (i wygodą ..) wkraczamy tu w sam rdzeń idei i dostojności.

Duch jest zjawiskiem tak osobliwem, że, gdy, naprzykład, chodzi o czynność siedzenia, uznaje on czasem nawet mięśniową niecelowość siedzenia za najwyższą tej czynności celowość. Bywa, słowem, paradoksalny. A oto dowód plastyczny — jeden z wielu: Czy można sobie wyobrazić króla, lub jakiegokolwiek dostojnika państwa, któryby na oficjalnem przyjęciu siedział w fotelu klubowym, głęboko, wygodnie, leniwie, niedbale, jak tego taki fotel wymaga? Tu siedzi człowiek, który w tej chwili uosabia naród cały z jego wiekową historją i kulturą, z jego państwem, duchem, potęgą, majestatem. Zatem musi siedzieć tak, aby w postawie jego wyrażała się najwyższa jasność myśli skupionej, woli do czynu gotowej, godności ponadosobistej. Postawa jego musi być w pewnym stopniu hjeratyczna, lecz zarazem sprężysta, w pewnym stopniu (że tak powiem) „zasiedziana", lecz zarazem górna. Otóż do postawy tej musi być (z kolei rzeczy) dostosowane siedzisko, a więc musi być ono prostokątne, lecz z poręczami na przedramio-

na, dość głębokie, ale z pionowem i wysokiem oparciem tylnem. Słowem, musi to być typowy w kształtach tron królewski.

Czy na tronie takim wygodnie się siedzi? Nie! Nawet bardzo niewygodnie. Czy dla ciała celowo? Nie! Niecelowo. Ale właśnie ta cielesna niecelowość jest tu w najwyższym stopniu celowa dla ducha. Tron może być z prostego drzewa surowego, wszelkich ozdób pozbawiony, niewyściełany, toporny, a jednak w kształtach swoich będzie posiadał dostojność majestatu. Czy stalowa konstrukcja tronu odpowiadałaby tym warunkom? Ze stanowiska wytrzymałości materjału i celowości jego użycia nogi tronu stalowego musiałyby być odpowiednio cienkie, bo grube kłóciłyby się z materjałem i byłyby o wiele za ciężkie (optycznie). Otóż— choćby tylko sprawa tych nóg... Społeczność ludzka może czasem wytrzymać nieodpowiedni kształt postaci swojego króla, ale nie do wytrzymania i nie do pomyślenia dla niej byłby tron... laskonogi.

Mamy już zatem logiczne i ścisłe połączenie wygody, celowości, materjału i dostojności w „sprzęcie do siedzenia". Musimy jednak i o dostojności słówko powiedzieć, żeby w nowe nie wpaść nieporozumienie. I znowu raz już użytą zastosujmy formułę: różne są dostojności, dostojność dostojności nierówna. Nietylko królewska istnieje dostojność, ale i praca ma swoją i każdy rodzaj pracy ma dostojność odrębną i spoczynek ma swoją. Celowość sprzętu, równie doskonała w materjale, jak w zastosowaniu i do ciała i do ducha, da w wyniku zawsze odpowiednią dostojność sprzętu. Nie wolno być jednostronnym.

Wszystkie omówione warunki, harmonijnie razem złączone, stanowią o estetycznym wyglądzie sprzętu. Ale tu wpada ironiczna uwaga polemisty budowniczego, że krzesło jest do siedzenia, a nie do patrzenia. Z wielu błędów, jakie w tej sprawie wykrzesał zapał polemiczny, ten wydaje mi się największy. Gdyby polemistą była kobieta, błąd taki byłby niemożliwy. One jedne, kobiety, niewzruszenie wiedzą, że nietylko one same, ale i wszyscy i wszystko na świecie jest „do patrzenia", „do oglądania", „do wzrokowego podziwiania". Oczywiście, że nie wyłącznie do patrzenia, lecz wygląd przedmiotu (i człowieka) jest celem z innemi celami równorzędnym.

W zagadnieniu „sprzętu do siedzenia" wzrok ludzki można porównać do powietrza, którego nie widzimy, o którem nie myślimy, a które przenika wszystko, działa wszędzie, żywi wszystko. Zapewne z powodu tej wszechobecności, czasem, w zapale zapomina się o wzroku w wyrobie sprzętów użytku codziennego. Wzrok jest rodzajem dalekosiężnego dotyku. Wzrokiem bezustannie mierzymy, ważymy, oceniamy temperaturę przedmiotów, ich gładkość, szorstkość, miękkość, twardość, tępość, giętkość, łamliwość, chłonność, cichość, hałaśliwość, pojemność, objętość, zwartość materjału it.d. i t.d., nie mówiąc już o nieogarnionej gamie chromatycznej barw i o rysunkowej zawartości każdego tworzywa, a więc i każdego przedmiotu. Jakże można nie uwzględniać wzroku w wyrobie takich codziennych i bliskich towarzyszów życia ludzkiego, jakimi są sprzęty domowe, a w szczególności „sprzęty do siedzenia"?... Wszak wzrokiem co chwila chłoniemy w siebie ich duszę, ich charakter, ich miły, albo przykry do nas stosunek.

Otóż stal i wogóle — metal stwarza w „sprzętach do siedzenia" charakter tak zimny, surowy i przykry — i fizycznie i duchowo, że już to jedno skazuje sprzęty owe na brzydotę. W obróbce zaś, tak pod względem kształtu, jak i barwy, metal jest nędzarzem w porównaniu do olbrzymich bogactw i możliwości materjału drzewnego. Nie mówię tu o ozdobach, jakkolwiek i tych lekceważyć nie można. Mówię tylko o kształtach i o barwach samorodnych materjału drzewnego. W jakim celu mielibyśmy pozbywać się tego ogromu bogactw i możliwości twórczych na rzecz zimnej nędzy ogniotrwałej?

Ale tu czas mi już postawić zimną kropkę stalową, do której zapewne i czytelnik odczuwa tęsknotę gorącą. Do celowości w sprzęcie domowym włączmy „logicznie" wszystko, o czem tu była mowa: i wygodę i wszystkie różnorodności celów, i fizyczność naszą i duchowość, i wzrok i dotyk i dostojność wszelaką, i ideję i estetykę i artyzm, wszystko, słowem, na co „sprzęt do siedzenia" oddziaływa, czemu służy, czego jest wyrazem... Zmieszajmy to dobrze, w hjerarchję i w harmonję ułóżmy, zapału swego udzielmy, a wnet uspokoimy wzburzone fale sporu, który życie nasze tak niebezpiecznie zakłócił.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

ZAMIAST „NA WIDOWNI"

WAMPIRYZM POEZJI SEMICKIEJ

KRYTYKA literacka naszych czasów nie dostrzega przemiany, jaka zaszła w piśmiennictwie naszem wskutek wkroczenia w jego szranki licznego zastępu pisarzy żydowskich. Klasyfikujemy pisarzy na podstawie rozmaitych różnic formalnej natury, pomijając obłudnie najważniejszą w twórczości artystycznej zasadę rasy. Nie o drobnostkę przecież chodzi. Wspólne bywają dzisiaj w literaturze tylko czcionki polskie, ale mówią one o różnych światach. Ponadto: gdy żydzi w Polsce obejmują już ster krytyki, narzucając nam i smak swój i kierunki, my nawet nie zadaliśmy sobie trudu zbadania ich psychiki twórczej. Skoro już mamy całkowicie zmienić swój typ na semicki, to przynajmniej róbmy to świadomie.

Krytyka włączyła do hierarchji poetów polskich p. Juljana Tuwima na warunkach bardzo dla niego korzystnych. Stawia się go nawet na czele współczesnych poetów p o l s k i c h. Czy słuszne jest takie zestawienie? Czy nie godziwiej byłoby otworzyć dla żydów osobny rachunek? Utwory p. Tuwima widywałem zosobna na łamach czasopism; teraz dopiero zaznajomiłem się z nim bliżej, przeczytawszy ostatni tomik jego poezyj „Biblja cygańska". To mi daje możność dokonania szkicowej charakterystyki jego osobistości, zdaniem mojem nader reprezentatywnej.

I.

Śpiewak Skamandra, Juljan Tuwim układa piosnkę o poetyckim micie Ofelji. Poświęca ten

wierszyk p. Marji Pawlikowskiej. Chcesz — śpiewa — bym biedną Ofelję Nocą nazwał? Mogę; mogę nazwać Zorzą. „Bo to wszystko jedno". Chcesz, by płynęła na „stawie", na liściu szerokim (nenufar) — proszę! A może chcesz, by muzą była — dobrze. To są tylko słowa, a chodzi jedynie o to, jakie jest „sedno" stosunku poetyckiego do obrazu Ofelji. Otóż przyśniła mu się w nocy:

„Ale po tej nocy
W poezyjne rano
W wierszu ją znalazłem
Zasztyletowaną.
Śliczna moja, wieczna,
Sedno mego sedna,
Pierwsza i konieczna
Ofelio biedna!
Dymi się kałuża
Krwi ciemno-zielonej
Zwłoki zasłoniłem
Weselnym welonem..." (12)

Jan Artur Rimbaud inaczej śpiewał o Ofelji, a wtórzył mu przekładając Kasprowicz:

„Niby nenufar w gwiazd drzemiących gronie,
Biała Ofelja cichą płynie rzeką,
Płynie powoli w swym długim welonie,
Gaj się gdzieś wrzawą odzywa daleką".

Ofelja śni o kochanku:

„Co za sen: Niebo, Miłość, Wolność!... Biedna!
Jak ogień śniegom, takim on był tobie.
W swych wielkich wizjach zmarły słów twych sedna,
W nieskończoności wzrok twój zagasł grobie".

Poeta z Warszawy Tuwim, szukając „sedna" słów, przychodzących do niego z wielkich wizyj ludzkości, ma dla nich w swej artystycznej duszy jakąś ciekawość krwiożerczą, która graniczy z nienawiścią. Jest coś rytualnego w jego żądzy „sedna". Przekłuwa słowo, aby się sycić widokiem krwi: „dymi się kałuża krwi". Dar jego poetycki — to sztylet, ten z kabały, którym przekłuwa się Hostję w obrzędzie satanicznym.

Przypatrzmy się, jak poeta Tuwim poczyna sobie z napastującem go słowem. Oto inny poemat „Eksperyment". Świat koło niego wybucha radością: Wiosna! Wiemy, co się dzieje wtedy z poetą polskim; przeczytajmy Kasprowicza cykl „Na przyjście wiosny". Tuwim inaczej. Oto urywki:

„I najświadomiej, jak fizjolog na preparacie, tak ja powyższemi słowy obnażam nerwy polskiej mowy (nie inaczej naprzykład uprawiałbym anatomję). Tak właśnie spokojnie, tak świadomie kładę na szklanej płycie Wiosnę, jak żabkę zieloną, przecinam wzdłuż, otwieram wszerz—i celnym lancetem w nerw. Drgnęła. Więc życie.

„Różnica jest znikoma. Tyle tylko, że zamiast anatoma wzięliśmy poetę. O to mi właśnie chodzi, wiosno, wiosno, żabko zielona! W noc twych urodzin leżysz rozpięta na tym papierze, piórem z wysoka w sedno twe mierzę, zaraz uderzę. Jeszcze ostatnie spojrzenie przymrużonego oka, jeszcze ostatnie wahanie o włos... i cios wgłąb pospolitego słowa.

„Drgnęło. Potopem słońca trysnęło i w bezwstydnych gałęziach bzów miota się zakochana, szalejąca głowa". (19)

Poeta Tuwim nie da się wziąć na sentyment. Jemu chodzi o Prawdę. A czem dla niego Prawda? Czy tem, żeby wiedział lub rozumiał? Nie. Chodzi o to, żeby posiadał, żeby „dymiła krew". Prawdą życia jest krew. W niej jest „sedno", poza tem tylko Słowo. A Słowo jest tylko igraszką. Słowo w poezji jest bańką mydlaną, którą się zabawia dzieci. Ile w niej prawdy, ten się tylko dowie, kto ją przekłuje. Trochę wilgoci. To jest prawda. Koniecznie: wilgoci.

„Słuchajcie, jakie dziwy się dzieją!
I jak ta wiosna, kiedy ją natnę,
Tętni i śpiewa mi w każdym zmyśle!"

Zwierzając sekret swojej natury poetom, tak uczy:

„Poeci!
Oto jedyny sekret naszego rzemiosła:
Wtargnąć wewnątrz!" (21)

Któż może zaprzeczyć, że poety zawodem jest dochodzenie istoty rzeczy. Ale jakże inaczej dochodzi jej poeta aryjski! Inaczej bowiem przedstawia się mu „sedno" życia. Przytoczę dla przykładu młodzieńczy wierszyk wspomnianego wyżej Kasprowicza. Pisany był w r. 1888, a więc w czasach, kiedy poeta znajdował się pod silnym wpływem myśli materjalistycznej, jaką niosła z sobą szkoła socjalizmu. Studjował wtedy filozofję materjalistyczną, przekładał Lukrecjusza *„De natura rerum"*, operował w poezji pojęciami „natury" i „atomu". Szły za tem i studja hebraistyczne, których owoc widzimy w ówczesnych poezjach biblijnych. Był więc — zdawałoby się — blisko Tuwima, a jednak wiosna na zgoła innych skrzydłach wyobraźni unosi jego duszę:

„Życie, o życie! To droga nić, do której mistrza potrzeba, aby z niej prządkę złocistą wić i na niej wznieść się do nieba! Niebo, o niebo! To jasny dzień, gdzie słońce w wianku zórz gości, to zbiorowisko wiosennych tchnień, związanych węzłem miłości. Miłość, o miłość! To rajski kwiat, wyrosły w przeczystem sercu, to złud anielskich uroczy świat, to róża w świeżym kobiercu".

A w zakończeniu — podobnie jak u Tuwima — inwokacja.

„Niechajże wszyscy
W mistrzowską dłoń
Uchwycą złote przędziwo
I aniołami
Na niebios błoń
Wznoszą się żywo — a żywo!"
(„Dzieła poetyckie", IV, 22)

Ten sam motyw, a jakże odmienna w swej melodji tęsknota do Prawdy. Prawda tkwi tutaj nie w wilgoci materjalnej, lecz we wnętrzu, które szuka w sobie nieba. Że ono się otwiera ze wzruszenia wiosną, więc ogarnia poetę radość: „O witajże mi, wiosenko, matko wesela"! Tuwimowi — przeciwnie — wydaje się, że wiosenny pęd życia jest dla stworzeń bolesny, że „jest w przyrodzie boleść wzrastania i tworzenia", ptaki „kłują" go świegotem „jak żądłami"... A miłość rozumie sadystycznie:

Weźcie swe kochanki,
Na zielone łąki,
Dręczcie chciwe usta,
Męczcie piersi pąki!" (16)

Miłość bowiem jest tylko żądzą posiadania, połączoną z okrucieństwem. Niepokój poety, zdawałoby się, pochodzi tylko stąd, że od istoty życia oddziela go Słowo. Załatwił się z niem magicznie, ma już „krew dymiącą", ale choćby cały świat posiadł, dyszeć będzie żądzą posiadania czegoś więcej i zemstą za to, że to tylko ból. Jest w potrzasku materji — bez miłości, bez żadnej nadziei, bez wiary. Ba, gdyby jeden promień, już miałby wylot.

II.

Kultura wyobraźni rzezacka. A potem talmud, mroczne widnokręgi wiedzy tajemnej i praktyk kabały. Pokażcie poetę polskiego, któryby dyszał żądzą krwi i ciągle miał ją w oczach.

Łagodna w lirykach p-na Hanna Mortkowiczówna w zbiorze „Jarzębiny" na str. 57 taki maluje obraz gorączkowego stanu:

„W ciasnej szkatule czaszki coś tłucze bez przerwy.
Jeden cios! Wyrwać z głębi tkanki, tętna, nerwy!
Jeden cios! Krew zapachnie — a co będzie potem?

Ja chcę dotrzeć do głębi! Ja nie chcę tajemnic!
Coś drga drapieżnym dreszczem w wyciągniętych rękach.
Zwierzchu cisza i spokój uśmiechu Giocondy,
W głębi praca podziemna, w głębi twórcza męka.
Zatopić w tygiel mózgu! Nie trwóż się, nie lękaj!
Zatopić w miękki mózg krwiożerczych palców sondy."

I kończy tak:

„Jeden cios! Krew zapachnie. Ja boję się, boję!"

Cóż dopiero mówić o rewolucjonistach, dla których motyw krwi jest potoczną figurą retoryczną. Nie wiem dobrze, kto jest p. Juljusz Grot ze swemi poezjami „W przededniu", ale jego wyobraźnia ma podobne tendencje. Marzy mu się wybuch rewolucji:

„Krew na chodniku skrzepła rdzą,
lepką posoką, ciepłą i mdłą,
nadszedł ranek mętny i zły,
słodką juchę lizały psy..." (8)

Poemat o wypadkach listopadowych r. 1923 w Krakowie pełen jest obrazów, jak to Kraków charczy w powrozie, jak pluje płuc kawałkami, jak krwi ma pełne usta i jak „krew w ulicach chlusta".

A nad zalanym krwią placem:

„Znów obskoczyły niebieski tułów
wszawym rojem gwiaździste krosty..." (62)

Szkoła socjalistyczna narzuca pewien system zarówno działaniu i myśleniu, jak i wyobraźni. Taki np. Mieczysław Rytard, podobno góral, poddał się całkiem Tuwimowi. W książce p. t. „Noże wiosny" (odrazu: „Noże") na pierwszej stronie w pierwszej strofie pisze:

„Nie układajmy już słów dzwoniących,
Jak sygnaturki przed sennym zachodem
Dziś trzeba słowa krwią ociekające
Zderzyć z wszechmocnym, rozwścieczonym głodem.

Nie chcę dzisiejszych dni,
Dni obłąkane jak słowa.
Chcę, by jak kłąb kłów
Świeciły plamami krwi,
Nie chcę krystalizacji słów."

I to się rozchodzi falami na całą literaturę polską. Czemże jest krwiożerczość sadystyczna Kadena Bandrowskiego? Socjalizm zażydził literaturę.

Czemże jest owa krew w poezji, raczej żądza krwi? Wżeraniem się w Materję w celu dotarcia do sedna Życia. Ponieważ dotrzeć do niego można przez rany i śmierć, stąd drapieżność. W tem dążeniu do owładnięcia prawdą transcendentną krew jest momentem krańcowym, najbardziej patetycznym. Ale po drodze do niej wszystko, co się da ująć symbolicznie, jako substancja Materji, działa pobudliwie na wyobraźnię semicką. Więc przedewszystkiem woda, która jest krwią ziemi i całego jej przyrodzenia. Paleta żydowskiego poety pełna jest motywu wody. Nie trzeba w tym porządku widzeń poetyckich materjalistycznych szukać analogji do upodobań życiowych. Każdy żyd powie za poetką: „Krew pachnie — boję się, boję". Ale właśnie to, czego się natura pierwotna człowieka boi, jest przedmiotem szczególnej jego czci i ciekawości w porządku poetyckim.

Poezja jest bądź co bądź porywem bohaterskim ducha i dlatego otoczona jest podziwem.

Poeta Leopold Lewin w zbiorku „Kora pisana", patrząc na fontannę doznaje uczucia porywu bohaterskiego:

„O — stanąć pod tym żywym siekącym natryskiem,
Pod tym chłoszczącym gradem drogocennych kropli,
I nagi, ogorzały, błyszczący od iskier
Zejść jak triumfator z granitowych stopni!"

Fantazja jest, ale się boję, boję! Tenże poeta, ogarniając wyobraźnią cały świat, widzi wiosnę w ten sposób:

„Wołga brzegi rozsadza, wre Dunaj w łożysku,
Grzmi potok w ukraińskiem dzikiem uroczysku.
W harceńskich i tatrzańskich wodogrzmotów huku
Milknie bór roześmiały nagle do rozpuku."

Któżby nie był „roześmiały"?! Bór widocznie pękł, skoro tak nagle umilkł.

Ale nie o to chodzi. Owa woda w wyobraźni poetów omawianych jest dziwnie lepka, przypomina krew. Więc „deszcz o szyby będzie lepko pluskał", a gdy nadchodzi „świt spotniały", wtedy „brudny" poranek kładzie się na wargi „gorzkim smakiem krwi spiekłej i cyny" (Mortkowiczówna „Jarzębiny", 56) it.p. Pisząc o poezjach Brandstaettera (nr. 1 „Myśli Nar."), miałem sposobność udowodnić, że poeci semiccy pracują przeważnie przy pomocy wyobraźni zmysłów najniższych: dotyku, węchu, smaku; malatura barwna, nawet słuchowa w obrazach ich znacznie mniejszą gra rolę. Pochodzi to stąd, że włada nimi przemożny instynkt lubowania się Materją w jej substancji. Zmysł powonienia urządza w ich poezji poprostu orgję. Nawet tragizm śmierci poeta (Lewin, *l. c.* 24) każe odczuwać węchem:

„Idźcie w pole z płonącym łuczywem,
Dokąd wabi was trupi zapach —
Tam znajdziecie me ciało nieżywe
Na ostatnich jesiennych kwiatach."

Ja nie pójdę, bo mnie zapach trupi nie wabi. U tegoż poety podniecenie miłosne zaostrza węch. Z pożądliwością ciała łączy się wrażliwość na róże, które „płyną w powietrzu roztarte na zapach", któremi poeta „drżące nozdrza pożądliwie pieści". Pragnie „namaścić różami" ciało ukochanej (11).

Zmysłowy, powiedziałbym: lubieżny stosunek do materji wogóle dochodzi do najwyższego napięcia w obcowaniu seksualnem. Nie mam potrzeby przytaczania na to przykładów. Zasługuje jednak na uwagę niespotykana w liryce polskiej rola smakowania. Uderzyło mnie to w liryce Brandstaettera (nie będę jednak do niego wracał). Przytoczę z liryk Mortkowiczówny początek liryk „Śliwy" (*l. c.*, 16):

„Tak, jedno zwarcie warg — nienaumyślnie,
Tak, jedno drgnienie — Ach tak, jeden krok
Na mokre usta — złoty gęsty sok
Z pod fioletu wytryśnie!"

Poetka jest głęboko wzruszona: „A ty się serce cofaj (?), ty się dziw"— dopowiada:

„Jeden ruch tylko — a wargi nam splami?
Złotosoczysty, miodnosłodki miąższ!"

W wyczuciu poetki obraz jesieni tak wygląda: „Dojrzewają dnie w słońcu, jak złote brzoskwinie, dojrzewają brzemienne i ciężkie owoce, świat jest lepki i słodki... Miód soków wgłąb płynie i zwiędły georginje krwawe i gorące"! (17). Wogóle „nieuwięzimy piękna, co przez palce płynie" (13).

Nie znam pochodzenia p. Mieczysława Brauna, ale w każdym razie wpływem tej szkoły tłumaczyć muszę jego obraz wiosny („Przemysły" 1928, str. 5), barwami *libido* malowany:

„Niecierpliwi smakują gorzkie zioła wiosny,
I pieszcząc zieleń liścia rozcieraną w ręce,
Nozdrzami chłoną zapach wilgotny i ostry,
A panna ziemia chodzi w zielonej sukience."

III

Tuwimowi też „maj pachnie mocno wiatrem i chlebem“, Czerwiec zaś „tkwi jak pestka twarda w mięsie wiśni“, aż „wzrok nabiega krwią“. („Biblja“, 36). Słysząc przez sen wóz z blaszankami mleka, śni taki obraz: „Biały i ciepły bulgot matczyny tuli mnie w łonie“. „Żywot mój senny zalewa bełkot mleczny i biały...“

Pod względem wartości artystycznej Tuwima oczywiście nie można zestawiać z przypadkowo tutaj dodanemi przykładami. Przykłady były potrzebne na co innego, mianowicie dla ukazania odrębności rasowej poetów pochodzenia żydowskiego. Tuwim uwydatnia jednak konsekwencje tego zjawiska odrębności w dziedzinach znacznie ważniejszych, niż sprawa biegłości pisarskiej i talentu.

Tuwim góruje kulturą literacką. Kultura zaś literacka w poezji polega na tem, że dokonywa destylacji surowca, jakim jest żywiołowa gra wyobraźni samorodnego talentu. Destylowanie, czy rafinowanie polega na oczyszczaniu widzeń poetyckich z fusów czysto zmysłowej natury, nie prowadzących do celu, jakim jest w poezji symboliczne wyrażenie stanów duszy. Jak widzieliśmy, poeci prymitywni zadowalają się zanotowaniem byle spostrzeżenia, dlatego jedynie, by pokazać, że coś postrzegli. Tuwim transponuje doznania na symbole; nie są one dla niego celem, lecz środkiem, pragnie za ich pomocą wyrazić jakąś myśl. Gdy mówimy o Tuwimie, musimy zadać sobie pytanie, jaka jest ta myśl jego. Wtedy dopiero można będzie coś powiedzieć o w a r t o ś c i jego poezji. [illegible] tym kątem jego utworom. Oto przykład: „Strzelanina“ (*l. c.*, 35).

„W deskę stali hartowanej
Walę celnie z rewolweru,
Lecz się kule r o z p l u s k u j ą,
Jakbym w r z ą c ą r t ę c i ą s p l u n ą ł“.

Kula rozpłaszcza się, „pławi się i kapie lśniącą kroplą metalową“. Autor dalsze dwie strofki dopisuje w sposobie komentarza. On sam coś wie o tem, coby się kryć mogło pod tym obrazem, jako alegorja, ale nie powie, bo sobie drwi z własnych idej. Dla niego wystarczającą prawdą jest ta, że kula się rozpluskuje i kapie, jak rtęć. Zostawia każdemu swobodę myśleć o tem, co mu się podoba:

„Doczep sobie, co uważasz
Do tej stali palbą bitej:
Trach! trach! — a my gwiżdżemy.
My — to znaczy: ja i kule“.

Potrąciłem już wyżej tę strunę. Los poety jest taki sam, jak kuli. Oboje gwiżdżą—to prawda, ale oboje też „rozpluskują się“ i spadają w proch kroplą rtęci, może łzy. Jesteśmy między poetami, mogę więc mówić obrazowo. Dla duszy swojej człowiek może znaleźć wylot bezkresny w kierunku metafizycznym, albo „walić nią w deskę ze stali“. Tuwim z natury samej dysponowany jest materjalistycznie. Duch czasu szkolił go tak, jak wyuczono trzecią międzynarodówkę: znalazł się w klatce rzeczy skończonych—bez wyjścia, utknąwszy głową w nieprzenikalnej, odpornej, jak stal, Materji.

Tuwim wie już o tem, ale wie i to, że nie ma odwrotu, jak kula. Więc gwiżdże. Krytycy podziwiają „ekspresjonizm” Tuwima. Wystarcza im ta nazwa, aby się załatwić ze zjawiskiem, ale przecież trzeba po za rubryką widzieć człowieka, aby rozumieć jego poezję. Finał kuli jest też jej ekspresjonizmem; ale gorzej dla człowieka, gdy może tylko gwizdać, lub „wrzącą rtęcią“ spluwać. Byłoby to tragiczne, gdyby nie wybitny brak tęsknot, który pozwolił poecie urządzić sobie świat na wesoło w stylu *„naplewat*“.

Poezja z tem wnętrzem, oparta w formie na sztuce gwizdania, nie jest zjawiskiem miłem i korzystnem dla środowiska, którego cywilizacji zasadą musi być przezwyciężanie tragiczności bytu wysiłkiem moralnym. Tuwim szczerze nienawidzi więzów społecznych; oszukuje siebie, nazywając ten stan poetyckiem *„Odi profanum vulgus“* (w wierszu *„Et arceo“*, *l. c.*, 57):

„K o ś c i ó ł czy kawiarnia,
Republika czy kino, wiec szewców czy a r m j a,
N a r ó d, gmina, r o d z i n a, uczelnia, czytelnia —
Wszystko chaos i zgroza i p u s t k a ś m i e r t e l n a“

Tak, to jest pustka, a jego uczucie nienawiści— to nienawiść odwrócona od siebie za to, że nic duszy swojej dać nie może społeczeństwu. Wyrazem tej nienawiści jest wiersz „Plajta“ (86) kończący się strofą:

„Bombardyci, truciciele,
Vivat wasz morderczy fach!
Fosgenjusze! Wyższe cele
Nakazują, by szrapnele
Biły w lud po miastach, wsiach!
Walić i kwita! P r e z e n t u j j e l i t a !
Plajta — klapa — koniec — krach“.

Tuwim nie jest bolszewikiem. Byłoby to ujmą dla bolszewizmu tak go taksować. Bolszewik ideowy tej rangi intelektualnej, co Tuwim, ma jakąś ideę budowy po burzeniu. Tuwim zaś wogóle żadnej idei budowy nie ma. On gwiżdże na ideje. On się bawi w ten sposób. To kabaret w stylu makabrycznym. Jego „Plajta“ nosi nawet tytuł: kuplety. Nie oszczędzi Polsce takiego kupletu, jak ten, „do człowieka prostego“ zwrócony:

„O przyjacielu nieuczony,
mój bliźni z tej c z y i n n e j ziemi,
wiedz, że na trwogę biją dzwony
króla z panami brzuchatemi.
Wiedz, że to bujda, granda zwykła,
gdy ci wołają: broń na ramię!...
Rżnij karabinem w bruk ulicy!
Twoja jest krew, a ich jest nafta“... (*l. c.*, 91)

Ekspresjonizm! Zapewne. Rozpacz człowieka, pragnącego utopić swój nihilizm w pustce dookoła. Nienawiść bytu za to, że się jest niczem. Zapewne. Ale co temu winna Polska, że zabłąkana skądś kula, tak umiejętnie celuje w jej „sedno“— w armję? Przypomnijmy sobie tamten wierszyk: „I najświadomiej, jak fizjolog na preparacie... kładę na szklanej płycie (Polskę) i celnym lancetem—w nerw. Drgnęła...“

Lancet, czy sztylet, powiedzmy poprostu — nóż. Nie są to nałogi myśliciela, ani roboty popolityczno-bolszewickie, to — rozpusta w parze z rzezackiemi dyspozycjami. Żądza widoku „dymiącej“ krwi: lubi „zapach krwi“. W sferach ludności, zdegenerowanej w rozpuście bez rafinowania w sztuce, dochodzą natury pierwotne do sadyzmu i nożownictwa.

Tuwim w utworach swoich, jak powiedziałem, nie jest komunistą z programu, bo jemu „wszystko jedno“. Łączy go z nim sympatja do tej części procesu komunistycznego, która jest burzą wywrotu, krwi i śmierci. W każdym jednak procesie i w każdym ustroju urządzałby się po mieszczańsku, to znaczy wygodnie. Jest doskonałym wyrazicielem

genjuszu swej rasy. Promieniowanie jego duszy ma kierunek w dół, ku infernom, więc odwrotny do prometejskiego, będącego zasadą budowy aryjskiej cywilizacji. Z otoczeniem swojem każdej rasy może współżyć wygodnie na rozstaju tych dróg, a więc tam, gdzie jest życie bezideowe, bądź praktyczne, bądź oddane używaniu. Dlatego na tym poziomie udają się najlepiej wszelkie mimikri, wszelkie równanie i podstawianie osób ze zmianą nazwisk. Ale też dlatego w czasie chowania się żydów za plecami innych, zalecany jest literaturze realizm, połączony z hołdowaniem teraźniejszości, chwili bieżącej, t. zw. „rzeczywistości" i temu, co jest życia zbiorowego wiązaniem formalnem, a więc państwowości. Poezji właściwej żydzi powinni sobie zakazywać. Tuwima poezje literackie są wybrykiem fantazji damaskującej.

Utwory liryczne Tuwima, będące objawem temperamentu literackiego, są jakby naddatkiem, dorzucanym ponad głową publiczności kabaretowej rozgrzanej bisowaniem. Tuwim bowiem z zawodu jest producentem literatury kabaretowej. Znam jego zbiorek bardzo wesołych anegdot (kawałów), bardzo ciekawych ze względu na semicki charakter humoru. Słynie jako kierownik kabaretów, planowo podkopujących teatr dramatyczny i niwelujących publiczność polską w smaku do poziomu żydowskiej.

Tuwim nie ma poczucia społecznego, nie ma serca dla typu cywilizacji społecznej zachodniej, wyraża się to w perwersyjności jego smaku, w sprawach moralności i obyczaju, ale za to ma doskonałe poczucie publiczności. On ją widzi i odczuwa fibrami duszy w czerni, porażonej wiatrem bolszewizmu od wschodu i wie, czem zagrać na jej nerwach (dowodem utwory rewolucyjne wyżej przytoczone); widzi i rozumie swoją czysto żydowską publiczność aż do okopów talmudu i kabały (znamy jego broszurę popularną o tajemnicach „Czarnej Mszy"); stąd podkreślany przez krytykę jego „dajmonizm": ale podstawą jego pracy zawodowej jest szara polsko-żydowska publiczność, burżuazyjna, szukająca tanich wzruszeń, biorąca wszystko za dobrą monetę, pozbawiona smaku, stojąca bez ruchu w miejscu między infernami Tuwima a prometejstwem sztuki polskiej, jednem słowem motłoch. Tutaj popularność kupletów może dać trwałą podstawę bytu jednostce utalentowanej.

Kuplet jest manjerą literacką Tuwima i jego szkoły. Bo są i polskie literatki na nim się wzorujące. Przed publicznością swoją literacką, tą odświętną, Tuwim w przystępie szczerości żali się na swój los:

„Nie grzech, lecz obrzydliwość pusta:
Dobrobyt mój i bystra sława,
I dowcip zwinny i Warszawa.
Nie grzech, lecz smutek i znużenie —
Ten bezwstyd szczęścia codziennego" (9).

Bardzo to cenne wyznanie. Używanie jest jednak dla niego „szczęściem", ale że codziennem, więc przesyt i smutek. *Omne animal* bywa *triste*, oczywiście grzechu nie czuje. Ba! Gdyby Tuwim miał poczucie grzechu!

Dlaczego nam trudno się porozumieć?

Oni nam prawią o Ludzkości, a my pytamy o człowieczeństwo.

I to się wiąże z pytaniem na początku tego szkicu postawionem: czy możemy myśl żydowską, wyrażoną czcionkami polskiemi, uznawać za polską?

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

ŻYCIE POLITYCZNE W POLSCE rozwija się pasmem niespodzianek. Najwięcej zaskoczeni ostatnio musieli się czuć ci, co najintymniej się zżyli z ideą silnej władzy. Nigdy zapewne nie przypuszczali, że obóz siły triumfalnie sprezentuje im nową konstytucję w postaci niepełnej, jako zbiór pośpiesznie ponumerowanych „tez", przypadkowo w ostatniej chwili podniesionych do godności najwyższej w państwie ustawy. Nie śmieli wierzyć, że wieńcząca dzieło reformy ustroju konstytucja tak spłatana zostanie społeczeństwu, jak figiel. Nie domyślili się, że dla przeprowadzenia tego dzieła obóz państwowy trzy lata szukać będzie stylu najmniej majestatycznego.

Znalezienie go ułatwiła „sanacji" opozycja, rezygnując z sejmowej trybuny i opuszczając salę. Zostawszy sami, posłowie z BB., po krótkiem wahaniu zdecydowali się odegrać historyczną scenę na chybcika. Lekkomyślne były rachuby opozycji, że tak ważnej sprawy nie zechce „sanacja" załatwiać gestem ukradkowym. Ze sposobności B.B. skorzystał natychmiast. Na ulicach rozdano młodzieży trąby, żeby dęła. Kazano wywiesić flagi.

Do ostatka „sanacja" nie wiedziała, jak wybrnąć z kłopotu. Pocieszała się, że w każdym razie rzecz jakoś da się przeforsować siłą.

„Bądźmy szczerzy",—pisze publicysta sanacyjny (w niedzielnej „Gazecie Polskiej")—„gdyby opozycja nie była leniwa i niedbała, gdyby pilnie spełniała swoje „obowiązki" i robiła wszystkie możliwe pociągnięcia regulaminowe, aby uniemożliwić zmianę ustroju państwa, to i wówczas także ustrój ten byłby zmieniony". „Inną metodą", domyśla się szczery sanator. Ale jakby to miało być, nikt z „sanacji" nie wyobrażał sobie. Także i „przełomowe" posiedzenie miało mieć charakter wyłącznie sprawozdawczy. Referent generalny projektu, p. Car nic innego nie przewidywał, kiedy kończono dyskusję w komisji konstytucyjnej. Komisja przedstawiała Sejmowi projekt niewykończony, nie czując się na siłach opracować go odrazu także pod względem redakcyjnym. Uważano, że w tej formie tak dalece jest nieodpowiedni, iż nawet nie godzi się go nazywać projektem „konstytucji". „Po przegłosowaniu tez należy przystąpić do zredagowania projektu nowej konstytucji, ale" — cytujemy wedle oświadczenia p. Cara w „Gazecie Polskiej" — „ale jest rzeczą niesłychanie trudną pisać odrazu dobrze. Poczucie odpowiedzialności nie pozwoliło członkom komisji użyć w stosunku do tez słowa „ustawa". Przygniatało ono z początku także i posłów z B.B., obradujących na *plenum*. Dopiero wyjście opozycji z sali sejmowej uwolniło ich naraz magicznie od ciężaru nioznośnej odpowiedzialności.

Wniosek swój o przemianowanie „tez" konstytucyjnych na ustawę zgłosił p. Car w piątek dn. 26 stycznia. W wywiadzie, udzielonym dziennikarzom, żartobliwie oświadczył, że stało się to przed trzema laty. Termin piętnastodniowy, wymagany przez konstytucję, został wskutek tego więcej, niż dotrzymany... Niewątpliwie wywiad przyczynił się do wzmożenia wesołości, która po uchwaleniu konstytucji żywiołowo tak ogarnęła Warszawę. Ale poważniej o wiele odniósł się do oświadczenia obradujący właśnie w Warszawie zjazd notarjuszów.

Ci ludzie, którym życie schodzi na badaniu prawidłowości wniosków, zrozumieli, że nie czas wdadać się w niepotrzebne dyskusje. Wystarczyło im, że zgłoszono wniosek w sprawie reformy konstytucji przed trzema laty. Inny całkiem, niż ten, który nagle poddano pod głosowanie przełomowego dnia 26 stycznia. W to nie wnikali. I to wniosek, i to wniosek. Zgłoszony przed trzema laty, prawidłowo. Który, mniejsza o to. Znaleźli się na wysokości zadania, wysyłając depesze hołdownicze do osób miarodajnych i gratulując im tak szczęśliwego początku zmiany konstytucji. Gest był ofiarny. Zrobili go entuzjaści, chcący powiększyć autorytet państwa, choćby kosztem autorytetu własnego.

Z UPORCZYWEM MILCZENIEM NASZEJ DYPLOMACJI zbiegło się ostatnio doniosłe oświadczenie kanclerza Hitlera w sprawach polityki zagranicznej Niemiec. Z konieczności, musi ono opinji polskiej zastąpić wyjaśnienia, jakich, mimo żądań prasy i posłów sejmowych, nie złożyli dotąd w przedmiocie stosunków polsko-niemieckich oficjalni kierownicy polskiej polityki zagranicznej. Nietylko z tego powodu oświadczenie kanclerza Hitlera jest dla polskiej opinji publicznej aktem cennym. Cennem czyni je także dźwięczący w niem silnie ton odpowiedzialności. Dziś, po rocznem przeszło kanclerstwie Hitlera, przyznać trzeba, że niema obecnie w Europie współczesnej kierującego losami narodowemi polityka, u którego czyny tak harmonijnie szłyby w parze ze słowami. Innemi działając metodami, niż bezsilny, zachodnio-europejski pacyfizm, innym mówiąc zupełnie językiem, nie uciekając się do uroczystego kłamstwa, okazał się ostatnio najbardziej wpływową w regulowaniu stosunków międzynarodowych osobistością. W szczególności w dziedzinie polsko-niemieckich stosunków inicjatywa niemieckiego męża stanu doprowadziła do podpisania ostatniej deklaracji. Było to skądinąd zupełnie naturalne, że z tej, a nie z innej strony wyszła inicjatywa. Polityka polska jednostronnie więcej pokojową nie mogła być wobec Niemiec, niż była. Zmianę umożliwić mogła tylko odpowiednia akcja ze strony niemieckiej. Podejmując ją, kanclerz Hitler okazał nietylko zdolność inicjatywy, lecz świadomość celu i wytrwałość działania. „Uważałem za słuszne uczynić próbę omówienia... na drodze szczerej i otwartej, dwustronnej wymiany zdań sprawy problemów, które interesują oba kraje...“ Geneza rozmów polsko-niemieckich jest przez to wyraźnie ustalona. Obecnie mamy już do czynienia z konkretnym wynikiem przeprowadzonych rokowań, w postaci deklaracji, która w obu państwach przedłożona zostanie kompetentnym organom do ratyfikacji.

Treść jej z punktu widzenia analizy prawniczej nie przynosi nic nowego. Deklaracja zobowiązuje oba państwa do utrzymywania przez dziesięć lat stanu pokoju, który na zasadzie paktu paryskiego i tak zobowiązały się utrzymać na stałe... Taki jest czysto abstrakcyjny sens deklaracji. Nie lekceważąc jej znaczenia, stwierdzić wypada, iż najważniejsze jest wprowadzenie w stosunki polsko-niemieckie nowego tonu, więcej godnego szanujących się, odwiecznych sąsiadów i przeciwników. Jeszcze rok temu możliwe były w społeczeństwie polskiem odruchy tak anarchiczne, jak bojkot książek niemieckich w księgarniach pod terrorem bojówek Legjonu Młodych — z powodu przyjścia w Niemczech nacjonalistów do władzy... Już wtedy przed rokiem interwencja władzy położyć musiała kres tym nieodpowiedzialnym wybrykom. Ale długo jeszcze, nawet na łamach prasy półurzędowej, trwała kampanja oszczerstw przeciw ruchowi narodowemu w Niemczech, która w pewnych pismach, w Polsce wychodzących, i dziś nie została przerwana. Niechlubna to w dziejach prasy polskiej karta. Czas ostatni wprowadzić ton godniejszy starej cywilizacji polskiej, ton bardziej europejski.

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Kazimierz Wierzyński od lat kilkunastu zbierał laury (olimpijskie i krajowe) jako utalentowany liryk. Debjut na polu nowelistyki, jakim jest wydany niedawno zbiorek „Granice świata“ (wyd. Gebethnerai Wolffa), miał być niewątpliwie próbą czy dowodem, że autor ten i w innym rodzaju literackim tworzyć potrafi. Czy nowele te powstały dopiero ostatniemi czasy (może w związku z powrotną falą tematów wojennych, poczętą od Remarque'a?), czy są owocem dawniejszych lat twórczych t. j. wojskowej służby austrjackiej i rosyjskiej niewoli autora — trudno z lektury wywnioskować, a raczej jest to zagadnienie drugorzędne; tak czy owak, książka ma wszelkie cechy debjutu. Od wyrobionego powieściopisarza mamy prawo wymagać czegoś więcej; tak samo i od pisarza renomowanego jak Wierzyński. W liryce sięgał on po tematy świeże, niezużyte, a umiał je wyrazić jasno, szczerze i swoiście. W noweli nie jest już tak oryginalnym i świeżym — nie idzie mu ona równie łatwo i poprostu, znać, że literat ten — wobec technicznej strony literackiego tworzenia zawsze sumienny i rozważny — mocuje się z nową formą i gatunkiem, stara się wypracować w niej nowe i dla siebie stosowne środki artystyczne. Wierzę, że dojdzie w tej mierze do równowagi i na zdobytym z czasem obszarze wzniesie dzieła trwalsze, niż „Granice świata“. Narazie nad zbiorkiem dominuje jeszcze ton Żeromskiego, którego wielbicielem okazał się Wierzyński już w ostatnich dwóch swoich tomikach poetyckich, od Żeromskiego to on — dawniej najbardziej żywiołowy optymista w naszej literaturze — przejął jakoby ów coraz to częstszy sarkazm i zgryźliwość, ze skłonnością ku realistycznym opisom ludzkiej nędzy, posuwającą się aż do szczegółowych detali anatomicznych, które brzmią czasami trochę nazbyt „podręcznikowo“ (w noweli tytułowej). Z Żeromskiego odczytu o literaturze dostał się tu (w noweli „Patrol“) i motyw chłopa, orzącego pod ogniem artylerji, zużytkowany już dawniej, a o wiele piękniej, przez Reymonta w potężnej opowieści: „Za frontem“, u Wierzyńskiego motyw ten opracowany został od strony zewnętrznej niejako — ze stanowiska widzów: oficerów oznajdujących się w okopie, przyczem gra altruizmu z cynizmem nie została konsekwentnie do końca przeprowadzona. Większa zwartość i wartkość przydałaby się noweli o „Napoleonie“; djalogi w niej się miejscami dłużą, za mało mają żywości i cech indywidualnych — każda osoba mówi tym samym, książkowym językiem. Pozostałe nowele mają już żywszy nerw powieściowy. Dobre są chwyty psychologiczne w dwóch nowelach, osnutych na wrażeniach z Rosji: „Wyrok śmierci“. (Morf) i „Msza na Uchazówce“ (staruch). Najwyżej stoją dwa utwory, opowiedziane najbardziej poprostu, bez wielomowności patetycznej, w zwięzłych kontrastach. Są to: „Porządek rzeczy ludzkich“ i „Tarnina“. W kreśleniu postaci kasjerki Buczyńskiej liryk Wierzyński wykazał głębokie zrozumienie ludzkich uczuć, a przytem zdobył się i na epicką pewność charakterystyki. W „Tarninie“ zaś ujawił się inny plon lirycznej natury pisarza: umiejętność nadawania prozie melodyjnej dźwięczności i rytmiki, wywołującej miejscami wrażenie wolnego wiersza. (J. B.)

*

Studjum Czesława Lechickiego „Z dziejów satyry polskiej w XVI wieku“, wydane nakładem autora we Lwowie, jest rezultatem dużej pracy naukowej i oryginalnego talentu krytycznego. Po wstępie o istocie i przeszłości satyry w starożytności przedstawia autor prymitywne, jeszcze w więzach scholastyki, piśmiennictwo satyryczne w Polsce, z czasem za Jagiellonów i Wazów przejawiające się pełnemi wyrazu utworami poetów i prozaików. W badawczej swej pracy streszcza opinje krytyków i historyków literatury, od Bro-

dzińskiego począwszy, i poddaje te opinje gruntownej rewizji. Świetne są charakterystyki indywidualności pisarzów. Czy to Arystofanesa, Horacego i Juwenala, czy satyryków niemieckich, w szczególności Erazma z Rotterdamu, czy w Polsce piszących po łacinie i rdzennie polskich satyryków, Biernata z Lublina, Reja, Bielskiego, Kochanowskiego, Zbylitowskiego, Klonowicza, — każdego ukazuje z jego swoistem, ironicznem spojrzeniem na świat na barwnem tle epoki. Widać też, jak średniowieczna poezja łacińsko-polska, poezja humanistyczna dworska i ziemiańska nabiera żywotności w związku z przemianą wewnętrznej struktury narodu, a to ze względu, że Reformacja „złamała monopol powagi, wyostrzyła zmysł krytyczny, usamodzielniła człowieka, wyzwoliła myśl z ryzów tradycji, nauczyła wątpić i „filozofować“, rewidować narzucone pojęcia i poglądy, mglisty uniwersalizm kosmopolityczny zastępując realnym, indywidualistycznym partykularyzmem narodowym... To nie przypadek, że pierwsi nasi pisarze polscy i satyrycy zarazem, Rej i Bielski, ideowo znaleźli się w protestantyzmie...“ (A. W).

*

Dr. Kazimierz Strożecki, b. st. asystent katedry hygieny w uniwersytecie warszawskim, w świeżo wydanem w Warszawie studjum historycznem „Łaźnie w dawnej Polsce i konieczność ich wznowienia“, wspomina czasy, gdy każde miasto i miasteczko posiadało łaźnie ku publicznemu użytkowi. Nakładem nadzwyczaj pracowitej erudycji przedstawia autor genezę powstania łaźni najpierw w Egipcie, na cztery tysiące lat przed naszą erą, w związku z tworzeniem się nauk medycyny i hygieny, a następnie na odległym Wschodzie, skąd zwyczaj używania łaźni rozpowszechnił się w Polsce. Na Wschodzie miała budowa łaźni charakter prymitywny, jak wogóle urządzenia gospodarskie, właściwe ludom koczowniczym, natomiast w osiadłem życiu, rolniczem i wiejskiem, przybrała charakter trwałości, tak że np. w Rosji, w Smoleńszczyźnie, była „instytucją społeczną, traktowaną na równi z cerkwią, młynem (wiatrakiem) i karczmą“. Moda łaźni parowych szła ku Polsce także od północy, a zakładanie łaźni publicznych coraz dobitniej zaznaczało się w budownictwie, zdobnictwie, literaturze i prawodawstwie. Autor cytuje liczne w epokach Piastów, Jagiellonów i Wazów nadania książąt, królów i biskupów, w których to nadaniach pamiętano o łaźni bezpłatnej dla ubogich, mnichów i żaków, z zastrzeżeniem, aby przez wdzięczność pomodlili się za zbawienie duszy fundatorów. Rozwój łazien publicznych i instytucji łaziebników wzmaga się w Poznaniu, i rozkwita w Krakowie jako stolicy państwa. Historyk niemiecki dr. Leopold Prowe nadmienia, że w tym czasie wodociągi w miastach Wielkopolski i Prus Wschodnich „uznane są jako założone przez Kopernika“. Doskonalą się urządzenia i przybory do kąpania się, parnie, wanny, bońki, szatnie, golarnie, ozdabiano wnętrza w posągi z kamienia i bronzu, zaczem w Warszawie dozwolony został w łaźniach wyszynk piwa i likworów, co zresztą z powodu bijatyk między kąpiącymi się przyczyniło się do upadku i zmierzchu łaźni publicznych. Poza temi interesującemi szczegółami obyczajowemi, godne uwagi, a i wznowienia, są przepisy, zawarte w statutach cechów rzemieślniczych, nakładające na majstra obowiązek ułatwiania kąpieli czeladnikom i uczniom, przynajmniej raz w tydzień. Książkę „Łaźnie w dawnej Polsce i konieczność ich wznowienia“, cenny przyczynek do dziejów kultury poświęca dr. Strożecki, entuzjasta rozpowszechnienia łaźnia ludowych, pamięci doktora Szymona Dzierzgowskiego, pierwszego profesora hygieny uniw. warsz. w odrodzonej Polsce, i dochód z rozprzedanej książki przeznacza na cel spopularyzowania swej humanitarnej idei. (A. W.)

*

Prześladowania katolicyzmu i duchowieństwa, szerzące się w dzisiejszej, porewolucyjnej Rosji, w Meksyku i Hiszpanji, niewątpliwie poddały Małgorzacie Perroy myśl o napisaniu powieści z czasów podobnego prześladowania, jakie miało miejsce za wielkiej rewolucji francuskiej. Powieść ta, przetłumaczona na język polski pod tytułem „Na wieczność“ (wyd. księg. św. Wojciecha, Poznań), zajmuje się sprawo nader doniosłą, a mianowicie dogmatem niestartego charakteru kapłaństwa, kwestjonowanym nieraz przez różnych odszczepieńców, natomiast akcentowanym zawsze silnie przez wiarę katolicką. Główną osobą powieści jest kobieta, która w młodości swojej, podczas rewolucji, pozbawiona została wszelkiej opieki, przebywając we dworze w zapadłej wsi, zdala od głównych ognisk rewolucji. W zakątek ten przybywa jakiś nieznany mężczyzna z malutką dziewczynką; znalazła y schronienie w domu owej kobiety, odwdzięcza się jej szczerą życzliwością, którą mylnie sobie tłumaczą okoliczni, do starych tradycyj przywiązani wieśniacy — i chcąc dziedziczkę uchronić, w swojem mniemaniu, od hańby, zmuszają ją do ślubu z obcym przybyszem. Ślubu udziela przejeżdżający kapłan, kryjący się przed jakobinami. Pożycie dwojga nowożeńców nie jest szczęśliwe. Nad owym przybyszem ciąży jakaś tajemnica, której kobieta, uważająca się za jego żonę, rozwiązać nie umie. Dopiero gdy owa dziewczynka wyrosła już w dużą pannę, następnie zbłąkana i uwiedziona, wraca w dom swój i przed śmiercą błaga o księdza, okazuje się, kim był rzekomy p. Fontevielle, rzekomy mąż dziedziczki... Tajemnicę odsłaniają słowa rozgrzeszenia, udzielonego przezeń konającej córce. Był on księdzem „przysięgłym“, jednym z tych, którzy (jak dzisiejsza „żywa cerkiew“ w Rosji) weszli w kompromis z zasadami rewolucji. Choć upadł tyle razy, choć uwiódł kolejno dwie kobiety, choć oszukiwał osobę niewinną, która mu ufała, jednak kapłańskie pomazanie pozostało na nim niestarte. Ono to — oraz modlitwa wspomnianej niewinnej osoby — wyjednywa mu łaskę pokuty dozgonnej w klasztorze. Z rzekomego małżeństwa zrodzony syn gładzi do reszty winę ojcowską, idąc za głosem powołania kapłańskiego. Powieść, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie przybiera postać kobiecego pamiętnika, napisana jest żywo, pełna jest momentów o silnem napięciu, porusza przytem problematy głębokie — choć zwykle nader płytko i bez właściwego zrozumienia rzeczy poruszane przez różnych antyklerykalistów. (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Ważnemu zagadnieniu banków emisyjnych poświęcona jest książka d-ra Edmonda Ulricha p. t. „*Les principes de la reorganisation des banques en Europe après la guerre*“. (Paris, Recue, il Sireyu 1931 p. 398). Książka jest poświęcona rozpatrzeniu tendencyj, jakie przyświecały reformom banków emisyjnych w okresie od zakończenia wojny do obecnego kryzysu. Powyższe tendencje rozwojowe dadzą się streścić: zapewnienie niezależności bankom emisyjnym, zapewnienie bankom wyłącznego prawa emisji biletów, ograniczenie działalności do operacyj krótkoterminowych, utrudnienia przy udzielaniu pożyczek skarbowi państwa, centralizacja wszystkich operacyj skarbu państwa w banku emisyjnym, wreszcie zabezpieczenie dostatecznego pokrycia banknotów. (J. P.)

*

Aktualnym tematem spekulacyj giełdowych zajmuje się książka adwokata egipskiego, Wanafi Aboul-Ela, który studja swe prowadził w Paryżu. Książka ta nosi tytuł „*La speculation en Bourse. Son influence économique et morale*“. W książce swej autor omawia zarówno technikę i funcjonowanie spekulacji giełdowej, jak i wpływ spekulacji na społeczeństwo, zarówno w dziedzinie moralnej, jak i gospodarczej. Specjalnie interesujące są cytaty opinij szeregu wybitnych osobistości o spekulacji giełdowej. (J. P.)

MUZYKA

FILHARMONJA. Nie wiem, czy to był jedynie przypadek, że na piątkowym koncercie symfonicznym wystąpili razem p. Kazimierz Wiłkomirski jako kapelmistrz i p. Beveridge Webster jako solista. W każdym razie stało się dobrze, gdyż obydwaj wnieśli jednakie wartości do wspólnie wykonywanego utworu Czajkowskiego, koncertu fortepianowego *b-mol*. Wartościami temi, nie mówiąc już o stronie technicznej, były młodość i temperament, który potrafiono jednak ująć w karby tak, ażeby miary nie przekroczył. Dużą zasługę ma tu p. Wiłkomirski, posiadający sztukę uzgodniania gry solisty z całym zespołem, nad którym w pełni panuje. Kontakt ten, który musi istnieć między dyrygentem a wykonawcami, wyczuwało się wyraźnie, czego wynikiem był znowuż kontakt granego utworu ze słuchającymi.

Dobrze się stało, że p. Wiłkomirski wystąpił na koncercie piątkowym. Wyróżnienie zupełnie zasłużone. Program, w jakim siebie ukazał, szeroki: od fug Bacha, zinstrumentowanych przez Młynarskiego, po przez koncert Czajkowskiego aż do symfonji Skrjabina. Wszędzie wykazał te same zalety; możnaby zarzucić zbyt małe zróżniczkowanie wykonywanych utworów. Usprawiedliwia to w dużej mierze samo brzmienie orkiestrowe, które wskutek np. instrumentacji fug Bacha, zacierało jednak nieco ich charakter.

P. Wiłkomirski ukazał siebie i na tle własnego wstępu do opery „Walgierz Udały“. Doszukiwanie się rodowodu wagnerowskiego wydaje mi się słuszne. Trzeba jednak zaznaczyć i niebezpieczeństwo. Każdy ulega wpływom, a młodzi szczególnie są na nie podatni. To prawda i to — trudno. Indywidualność jest w dużej mierze wypadkową wpływów (chociaż nie są one jedynie decydującemi). Niemniej jednak trzeba się starać posiąść ją jaknajprędzej.

Solista wieczoru, p. Webster pokazał nam dobrą szkołę. Bezpośredni stosunek do granego utworu dał w rezultacie bezpośrednie wrażenie. To jest sukces.

P. Webster oprócz partji fortepianowej koncertu Czajkowskiego odegrał balladę *f-mol* i „Kołysankę“ Chopina, oraz Balakirewa „*Iclamey*“.

*

Ukazał się pierwszy numer „Biuletynu Muzycznego“ T.O.N. (Towarzystwa Przyjaciół Muzyki i Opery Narodowej). Potrzeba informowania zarówno członków towarzystwa jak i społeczeństwa o zamierzeniach, metodach i pracy przy pomocy perjodyku („Biuletyn“ ma się ukazywać co miesiąc) jest rzeczywiście koniecznością i takie ujęcie zadania należy uznać za najbardziej słuszne. Ale czy zapowiedź odpowiada rzeczywistości? Jeśli chodzi o numer pierwszy, stwierdzić musimy, że nie. Mamy przed sobą nie biulatyn (w ścisłem słowa tego znaczeniu), a pisemko muzyczne o charakterze popularnym, w którem dominującą rolę grają takie np. artykuły, jak p. K. Stromengera o muzyce romantycznej, rozważania p. M. Skołuby p. t.: „Dobry towar zawsze kupca znajdzie“, lub p. L. Baldwina-Ramułta na temat stosunków muzycznych polsko-rumuńskich, pozatem sprawozdania z koncertów, kronikę, kalendarzyk muzyczny i.t.p..... ale sprawie najbardziej interesującej, samej działalności T. O. N., poświęcono zaledwie niecałe cztery stronice (na 26!).

Cel i istotę towarzystwa u s i ł u j e przedstawić w artykule wstępnym p. L. A. Wojnarowski. Jest to dosłownie usiłowanie. Przytaczam ustęp pierwszy:

„W dobie ogólnego kryzysu, wyciskającego swe piętno na każdej dziedzinie sztuki, powstało w Polsce stowarzyszenie, o charakterze ogólno-państwowym, które gwoli szlachetnej dumy narodowej i *prestige*'u państwowego, pragnie na czoło urządzeń przez się propagowanych, wynieść najistotniejsze wartości kultury muzycznej i operowej. Wartości te, o charakterze wyjątkowym, najlepszym, zespalające żywotność społeczeństwa wraz z jego ambicjami i wysiłkami, zezwalają mu uczestniczyć w międzypaństwowych przejawach życia, uzewnętrzniając jego siły intelektualne“.

Nieudolność wypowiedzenia celu i zadań towarzystwa wytłomaczyć musimy trudem podciągnięcia się do stylu dnia dzisiejszego; zrozumiałą jest ambicja zbudowania opery n a r o d o w e j, trudno, rzeczywiście trudno jest wytłumaczyć, że nie będzie ona — narodową... Wobec takiego, mocno zawiłego ujęcia sprawy, szeroko pojęte zamierzenia instytucji (czy nie aż nazbyt szeroko?), konkursy muzyczno-wokalne, kompozytorskie, studjum operowe, propaganda itd., stać się mogą machiną poprostu bez żadnej racji istnienia, mimo zapewnień o „wybitnie“ ideowem podłożu. Zapewnienia jednak nie wystarczają.

Jak się robi Operę Narodową? — Umieszcza się przy wyrazie „Opera“ przymiotnik „Narodowa“ i koniec? Otóż— nie. Słowo „narodowy“ posiada głęboką i obowiązującą treść. Plątanie się w koncepcjach ideowych cały trud i wysiłek może sprowadzić na manowce. Wystawiono niedawno „Uprowadzenie z Seraju“ Mozarta jako przejaw i wynik pracy T.O.N. Zgodne głosy stwierdziły, że przedstawienie nie dało tego, czego oczekiwano. Powiedziało jednak wiele i zmusiło do refleksyj. Pomagał w wystawieniu przepędzony z Drezna Goldstein. Czy proponując mu współpracę zastanowiono się, dlaczego tenże Goldstein jest dzisiaj w Warszawie (jeszcze) a nie w Dreźnie. Bo tam również chcą mieć operę narodową, tylko że do urzeczywistnienia tego idą szczerze i konsekwentnie. Trzeba pozbyć się starej ideologji, chociażby ona była nawet „wybitną“ (objektywizm? ....„dla sztuki“?) i starej rutyny. S t a r e j r u t y n y operowej, zalatującej na milę kurzem czerwonego aksamitu. Jest to nasza odpowiedź na pierwszą ankietę, ogłoszoną przez „Biuletyn“.

W. NARUSZ

FILM

COLOSSEUM: „Szturmowa Brygada“, film sowiecki.

Film ten bardzo prędko zdjęto z ekranu i w chwili, gdy piszę, już co innego wyświetlają. A szkoda, bo zawierał wiele momentów b. artystycznie pomyślanych. Całość coprawda szwankowała miejscami, niewytrzymana w jednolitej rytmice, ale tu nie bez winy są nożyce cenzora, który wyciął bezmała trzecią część taśmy. Tak to już bywa z sowieckiemi filmami.

Zawarte w „szturmowej Brygadzie“ wartościowe i świeże w wyrazie pomysły, o których wspomniałem, polegają na związaniu w ograniczona całość życia (t. zn. działania i czucia) ludzi i maszyn. Treść, dość typowa dla utworów kinematografji sowieckiej, odtwarza obraz pracy brygady „udarników“, pragnącej pobić rekord wydajności. Praca przy Dnieprostroju. Otóż pokazano maszyny nietylko w ruchu i działaniu, co w filmach nieraz widzieliśmy, ale z roli tła pchnięto je na pierwszy plan, do współgry z ludźmi, każąc za nich wyrażać ich uczucia, zwłaszcza te napół wyjawione. Wyjaśnię to na kilku przykładach.

Instruktor amerykanin, tłumaczka, zalotny babsztyl (postać narysowana z subtelną ironją) i przywódca brygady, sympatyczny, młody chłopak, chodzą na terenie robót, rozmawiając z sobą. Wszystko to się odbywa na tle dźwigów, wagonów, wagoników, obrabiarek i t. p. W pewnym momencie amerykanin wyraził się lekceważąco o sprawności brygady. Oczekujemy wybuchu gniewu ambitnego chłopaka. I oto ten wybuch, napoły hamowany, u p r z e d z a i wyraża zły warkot, zgrzyt maszyny (widzimy ten obraz).

W innym wypadku znowu, chłopak dosolił amerykaninowi. Tu widzimy wagonik, jak uniesiony w górę przez dźwig, kłapie otwartem dnem (wytrząsając ziemię) niby paszczęką, wyrażając złość amerykanina. W innem miejscu panienka, tłumacząc, zabrnęła w sytuację bez wyjścia, zaczęła się jakoś plątać, utknęła. A z góry (następny obraz) zsuwa się lina, na niej węzły, na końcę h a k. Ten hak—to już symbol nie stanu uczuciowego, a sytuacji.

Mamy jeszcze przykład, jak maszyna p o d p o w i a d a człowiekowi. Do pracy jedzie brygada 1½ godziny. Więc w czasie jazdy zorganizowano wykłady techniki dla robotników.

„I którędy jeszcze jeszcze wypuszczamy parę z parowozu?“ — pyta inżynier wykładowca chłopaka przy tablicy.

Chłopak milczy. I ten obraz wnętrza wagonu z chłopakiem, który nie wie, co odpowiedzieć, łączy się z obrazem parowozu, kilkakrotnie powtarzanym. Jakby lokomotywa dawała znać: uważajże gamoniu, patrzajże, którędy puszczam parę.

Omówiony sposób filmowego podejścia nietylko jakby „uczłowiecza“ maszynę, insynuując jej inteligencję i czucie, ale opiera zarazem montaż poszczególnych obrazów (człowieka i maszyny) na zasadach bardziej pogłębionych i umotywowanych artystycznie, niż efekty natury wyłącznie formalnej.

FILHARMONJA: „Niewidzialny człowiek“, reż. James Whale film amerykański.

Pewne możliwości artystyczne filmu ściśle są związane z jego techniką (np. efekty przy zdjęciach t. zw. wózkowych), ale to nie znaczy bynajmniej, że już sam nowy *trick* techniki ma decydować o walorach utworu. Rzecz osnuta na tle fantazji Wellsa o „niewidzialnym człowieku“, miała przed sobą dalekie perspektywy jako twór ekranu. Problemat niewidzialności, w państwie wizyj plastycznych, jakże mógł być głeboko ujęty! Stosunek niewidzialności, odczuwanej i obecnej, do świata widzianego (i odwrotnie), to jedna strona zagadnienia, drugą stanowi nowa serja możliwości efektów wzrokowych (np. „niewidzialny“ mówi: gdyby spadł deszcz, krople dżdżu byłoby na mnie widać — tego nie pokazano).

Pojmując sprawę płycej, można było jeszcze z powodzeniem (kasowem również), poprowadzić film w kierunku groteski (figle „niewidzialnego“), lub sensacji (sposoby obrony przed niewidzialnym, czynnik emocji: jest, czy niema go?) Reżyser nawet tych możliwości nie wyzyskał w pełni, nie utrzymując także jednolitej atmosfery nastroju. Początek, aczkolwiek zrobiony w znanym już tonie, ma jeszcze wyraz (ponury wieczór, tajemniczy nieznajomy, służaca w gospodzie — histeryczka z twarzą puszczyka...) Potem nie wiadomo, o co chodzi, a już skaczące spodnie w alei parku budzą zupełną wesołość.

Pozostaje z całości ciekawy wizualnie moment: „niewidzialny“ przed lustrem odwija bandaż z głowy, pod bandażem, zdejmowanym z niewidzianej bryły — pustka.

ŚWIATOWID: „Zaledwie wczoraj“ reż. John M. Stahl, film amerykański.

Jeszcze jeden film o kobiecie, która kocha i nie zapomina przez całe życie. Wytrzymany w dobrem tempie, zrobiony żywo i b. inteligentnie (treść), ujmuje, mimo zasadniczo smutnego tematu, pogodą spojrzenia na ludzki charakter i umiarem barw przy kreśleniu sytuacyj i postaci bohaterów. Nikt, na dobrą sprawę, nie jest tu winien nieszczęściu, raczej okoliczności; bohaterka cierpi, ale taktowny reżyser nie zwala na jej ramiona wszystkich katastrof: nędzy, choroby, opuszczenia. Jej tragedja wynika z innego niż u partnera ustosunkowanie się do zdarzenia, które razem przeżyli. Różnice reakcji psychicznej.

Gra aktorów b. dobra i dyskretna.

KANDYD

OFENSYWA

DUSZA NIPPONU

J. C. Mość Hirohito podczas uroczystych ceremonij, których rytuał istnieje lat dwa tysiące, nadał synowi swemu, liczącemu osiem dni, imię Akihito. Pełne imię brzmi: Akihito Tsugu No Miya.

Czwarte dziecko cesarskiej pary jest 125-tym następcą tronu tej samej dynastji.

* * *

Dzieci zajmują w Japonji stanowisko pierwsze i pierwszorzędne.

W tramwaju jest się omal codzień świadkiem takiej sceny: wszystkie ławki zapchane dziećmi, a dorośli stoją. Dziecko korzysta tu ze wszystkich praw i przywilejów. Wchodzi do tramwaju kilkoletni chłopak, ogląda się, wszystko zajęte, widzi to siwowłosy pan, wstaje i odstępuje dziecku swoje miejsce. Pomimo tego dzieci japońskie są wzorem posłuszeństwa i dobrego wychowania.

Kursy dla matek i pielęgniarek są w Japonji znakomicie postawione.

Wszystkie dzieci w Japonji obchodzą urodziny w jednym i tym samym dniu. Dziewczynki 3 marca a chłopcy 5 maja. Święto dzieci jest uroczystością całego miasta lub całej wsi, pod hasłem: wszystko dla dzieci!

* * *

Najuroczyściej obchodzony jest w Japonji dzień i święto Nowego Roku. Od r. 1874 obchodzone jest wedle kalendarza Gregorjańskiego, to znaczy nie tak, jak w dawnej Rosji i w dzisiejszych Sowietach, ale jednego dnia z całym światem chrześcijańskim. Święto Nowego Roku (*Sin Nen Omedetoo*) poprzedzają jarmarki noworoczne (*Tosi - no ici*), przy których wszystkie sklepy, stragany, domy towarowe i hale handlowe dekorowane są efektownie. Wtedy to sporządzana też bywa narodowa potrawa z ryżu „*moci*", arcydzieło sztuki kulinarnej. Na domach są ogłoszenia „*moci no fuda*", znaczy to, że ubodzy w tym domu będą otrzymywali przysmak narodowy: *moci*.

W dzień Nowego Roku w rodzinach wszyscy zabawiają się tradycyjnie grą w karty, tak zwaną *uta-guruta*.

Karty wypełnione są sentencjami krótkiemi, ze stu arcydzieł literatury japońskiej.

Wygrywa ten, kto z wymówionego jednego słowa tekstu najszybciej odgadnie autora i dzieło.

* * *

„*Sunday Express*" donosi, że admiralicja japońska jest w posiadaniu nowych środków wojny morskiej. Między innemi dokonywane są próby nowego typu łodzi podwodnej—miotacza min. Łódź ta może operować na bardzo wielkiej głębokości i przy silnym prądzie. Pozatem wynaleziono specjalny preparat chemiczny, który przy zetknięciu z wodą, będzie wytwarzał gaz łzawiący, uniemożliwiający załogom statku prowadzenie walki. Bomby z tą substancją będą rzucane na powierzchnię morza z hydroplanów.

* * *

„Król Pereł" K. Mikimoto ofiarował Narodowemu Muzeum w Waszyngtonie model podobiznę Mount - Vernon, to jest siedziby J. Waszyngtona, cały zrobiony z pereł (wartości 350.000 dolarów). Wręczył ten model zarządcy Muzeum G. Abbotowi ustępujący ambasador, p. Deluchi.

Pereł w modelu jest 13.000.

* * *

Rząd japoński oddał do dyspozycji wielkiej międzynarodowej ekspedycji astronomów krążownik „Hasuga".

Astronomów jest 35 i mają się zająć na Wyspach Karolińskich obserwacją zaćmienia słońca dnia 14 lutego.

Astronomowie są cały czas swego pobytu gośćmi rządu japońskiego.

Nie wolno im tylko ani informować się, ani zwiedzać, ani nawet zdaleka fotografować fortyfikacyj japońskich.

* * *

Premjer japoński, Makoto Saito, zwiedzając w pierwszych dniach stycznia jedną z nowych fabryk broni, dokonał przytem symbolicznego, prastarego, rycerskiego, tradycyjnego aktu symbolicznego hartowania miecza.

* * *

„*Echo de Paris*" z 3 stycznia donosi, że obie córki nowomianowanego ambasadora japońskiego w Paryżu, Sato, który do niedawna był ambasadorem w Brukseli, przeszły na katolicyzm. Ceremonji chrztu świętego dopełnił nuncjusz apostolski przy dworze belgijskim, mgr. Micara. Ojciec Święty nadesłał depeszę z błogosławieństwem apostolskiem. Córki ambasadora zmieniły religję za zgodą rodziców.

„*Echo de Paris*" wskazuje, że w wyższych sferach japońskich katolicyzm czyni bardzo szybkie postępy.

* * *

Osaka jest to czwarte z rzędu miasto japońskie. Liczy 2.500.000 mieszkańców. Obecnie buduje podziemną sieć kolejową. Długość: 54 kilometry. Koszta: 162 miljonów jenów. Do budowy przystąpiono w r. 1930. Pierwszy odcinek oddano w grudniu 1933.

Jeden z tygodników paryskich daje taki opis tego jednego odcinka:

„Na tej małej stosunkowo przestrzeni znajdują się cztery przystanki, z których Umeda jest właściwie stacją, gdzie mieszczą się biura kolejowe, poczekalnie i kasy. Peron o długości 180 metrów i szerokości 8 metrów jest największym w kolejach podziemnych na całym świecie. Dla orjentacji podróżnych ściany każdego przystanku posiadają inną barwę. I tak na stacji Umeda ściany są białe, w Yodobashi niebieskie, w Honmachi różowe, a w Shinsaibashi ciemno-niebieskie. Dotychczas uruchomiono 10 wozów elektrycznych, luksusowo urządzonych. W każdym wozie, mogącym wygodnie pomieścić 120 pasażerów, znajdują się telefony, głośniki radjowe i specjalne wentylatory".

My w Warszawie znamy Japonję jeszcze z epoki: „*Rikszy*" i operetki Sulliwana: „*Mikado*".

W porównaniu z postępami technicznej cywilizacji w Japonji, jesteśmy jeszcze w epoce łupanego kamienia, tasaków i łuczywa.

* * *

„Gejsze miasta Tokjo, w rezultacie przeprowadzonej wśród nich kampanji, zebrały 20.000 dolarów i postanowiły przeznaczyć te pieniądze na aeroplany wojenne dla walczącej w Chinach armji".

Gejsze w Tokjo mają sobie oddane całe przedmieście Josziwara, tonące w ogrodach, w kwiatach, w lampionach, w festonach, w festynach, w muzyce.

* * *

Świeżo „dymisjonowany" minister wojny Araki ma wrócić (najprawdopodobniej w najbliższym czasie) z powrotem, już w charakterze premjera i szefa rządu z nieograniczonemi pełnomocnictwami.

Tymczasem oddaje się codziennie rano ćwiczeniom fechtunkowym na lance.

Partnerem ministra jest mechaniczny „robot", fechmistrz, precyzyjnie pracujący.

* * *

Agencja japońska „*Shimbun Rengo*" ogłosiła noworoczne życzenia całego szeregu wybitnych osobistości.

Premjer markiz Saito oświadczył dość krótko, a nieco tajemniczo, że „rok 1934 będzie obfitszy w zdarzenia polityczne, aniżeli rok ubiegły i dlatego naród japoński musi się jeszcze bardziej zjednoczyć koło swego rządu".

Jeszcze bardziej!!!

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Apostoł dzisiejszej teraźniejszości i rzeczywistej rzeczywistości, Kaden Bandrowski staje się tradycjonalistą. Na jego wniosek ogarnięci wichrem dziejów członkowie Akademji Literatury, pomyśleli o swoich wielkich poprzednikach w literaturze. Poszerzyć żywego grona akademików niepodobna, ale można je ożywić, wprowadzając do Akademji zmarłych.

Duchy nie potrzebują foteli, więc uradzono, że każdy akademik siądzie na ducha, którego sobie obierze za patrona. Myślano początkowo o maskach według portretów, ale toby zmieniło oblicze współczesności dzisiejszej i rzeczywistej; praktyczniej — siedzenie.

Fotele będą się nazywały: Kochanowski, Rej, Skarga, Sarbiewski, Krasicki, Norwid, Sienkiewicz i t. d. Kaden siądzie pewno na Sienkiewiczu, Boy na Skardze, Rzymowski na Staszicu, Leśmian na Kochanowskim...

Oczywiście duchy nie będą korzystały z pensyj i z prawa głosu. Przytem tylko żywi akademicy wchodzą automatycznie do Legjonu Zasłużonych.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.